



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Leszek Kostrzewa

## Dzieci – Wojna – Śmierć

### Okupacja niemiecka

Urodziłem się we wrześniu 1932 roku w Warszawie. Wraz z rodzicami i siostrą mieszkaliśmy w dzielnicy Wola przy ulicy Działdowskiej 18 m. 50. Znajdowało się też drugie wejście do naszej kamienicy od ulicy Górczewskiej 17b. Balkon naszego mieszkania na trzecim piętrze wychodził na ulicę Górczewską, która była jedną z głównych arterii prowadzących z zachodu na wschód. Przemieszczały się nią wojska polskie jak i niemieckie.

We wrześniu 1939 roku gdy rozpoczęła się II Wojna Światowa, dzielnica Wola była bombardowana przez lotnictwo niemieckie na równi z innymi dzielnicami. Zburzonych i spalonych domów, i fabryk było bardzo wiele. Dla nas dzieci, nieznających jeszcze skutków i okrucieństw wojny, ważne było znajdowanie łusek od wystrzelonych naboju oraz innych drobnych rekwizytów wojennych. Wzdłuż ulicy Działdowskiej stały całe szeregi wojskowych wozów, zaprzężonych w niezbyt duże, ale silne konie. Dookoła pełno było żołnierzy polskich. Przybyli oni do Warszawy wraz z cofającą się armią polską. Wojsko ustawiało na ulicy działa przeciwlotnicze. Dostawaliśmy od żołnierzy chleb, który miał niezapomniany smak. Z każdym dniem przybywało coraz więcej uciekinierów. Całe szczęście, że mięsa końskiego było sporo do jedzenia, a niektórzy ludzie wybierali się na okoliczne pola po kartofle, skąd często nie wracali, zabici przez krążące samoloty niemieckie. Coraz więcej przybywało rannych żołnierzy i cywilów. Przebywali oni w naszych piwnicach i jedli razem z nami. Ojciec nasz walczył gdzieś na Woli, wykonując prace związane z instalacjami elektrycznymi z racji swojego zawodu. Dowiedzieliśmy się, że został ranny w tył głowy. Znalazł się wkrótce w szpitalu na ulicy Płockiej obok naszego domu. Pod koniec września rozpoczęła się straszliwa kanonada od strony zachodniej. Dzień i noc strzelała artyleria niemiecka, a samoloty latające na dużej wysokości sypały dosłownie setki podłużnych bombek zapalających, z których wylewał się fosfor. W pobliżu naszego domu, wzdłuż ulicy Górczewskiej były okopy, w których nasi żołnierze zaczęli palić różne części wojskowe. Co chwilę rozlegały się wybuchy amunicji. Krążyły pogłoski, że czyszczą teren w związku ze zbliżającą się kapitulacją, która nastąpiła 28 września. Nagle działa umilkły i zapanowała cisza. Dozorcy zaczęli sprzątać ulice. My dzieci zbieraliśmy różne części ekwipunku żołnierskiego, które później rodzice nam odbierali i wyrzucali do okopów. Na szczęście obyło się bez wypadków. Nastąpiła kapitulacja, a my wróciliśmy do mieszkań.

Stałem akurat przed domem, gdy doszedł mnie odgłos orkiestry od strony wiaduktu kolejowego. Ulicą Górczewską maszerował oddział żołnierzy niemieckich z orkiestrą na czele. Szli do Komendy Miasta

naprzeciw Ogrodu Saskiego, aby zgodnie z treścią aktu kapitulacji objąć urzędy w Warszawie. Szli w mundurach polowych, bez broni i grali bardzo ładnie. W międzyczasie nasz ojciec wrócił ze szpitala. W następne dni oddalałem się od domu oglądać gruzy zbombardowanych domów. Na ulicy Górczewskiej, róg Szlenkierów były gruzy domu, w którym zabici zostali starsza kobieta i mężczyzna. Gruzy, jakie wysypały się na ulicę Górczewską leżały bardzo długo nieuprzątnięte. Mówiło się, że bombę zrzucił samolot rosyjski, i że część nalotów też było ich dziełem. Wtedy jeszcze w ogóle nie orientowałem się w rozgrywkach wojennych. Interesowałem się natomiast górami gruzów, gdzie w czasie zimy, która wkrótce nadeszła, wyjeżdżono ścieżki do zjeżdżania na blachach i miskach znalezionych w gruzach.

Zacząłem chodzić do pierwszej klasy szkoły powszechnej przy ulicy Staszica 11a, obok domów Wawelberga, prowadzonej przez siostry zakonne.

Pierwsze moje osobiste spotkanie z żołnierzami niemieckimi było bardzo wymowne. Otóż, idąc kiedyś ulicą Górczewską w kierunku wiaduktu kolejowego, zobaczyłem, że kilka małych dziewczynek bawi się na trawniku na wale kolejowym. Coś tam grzebały w ziemi. Ponieważ u góry znajdowały się szyny kolejowe i przejeżdżały tędy pociągi ze sprzętem wojskowym i węglem, nie uważałem za bezpieczne przebywanie w tym miejscu. Podszedłem więc do dziewczynek, prosząc, żeby stamtąd odeszły. Nagle zjawiał się umundurowany Niemiec, pilnujący torów. Miał karabin, który zaczął zdejmować z ramienia, krzycząc do nas. Dziewczynki natychmiast zbiegły na dół. Żołnierz kazał podejść do siebie i uderzył mnie w twarz otwartą dłonią, nakazując zejście z wału. Odwróciłem się i dumny oraz obrażony poszedłem do domu. Szkoda, że nie znałem wówczas wyników wojny, bo bym mu coś przykrego powiedział. Mógłbym to też powiedzieć Adolfowi Hitlerowi, który przyleciał do Warszawy i w dniu 1 października 1939 roku przyjmował zwycięską defiladę wojsk niemieckich w Alejach Ujazdowskich. Niestety, musiałem na to poczekać jeszcze 5 lat.

Zaczęły dziać się dziwne, straszne wydarzenia, dotychczas nikomu nieznanne. Pod koniec grudnia 1939 roku, gdy zajęci byliśmy prezentami świątecznymi, spacerowałem po ulicy Działdowskiej niedaleko naszego domu, gdzie stała grupa kobiet. Jedna z nich, z rozwianymi włosami, strasznie krzyczała i wymachiwała rękoma. Mówiła, że widziała, jak Niemcy rozstrzelali dużą grupę polskich mężczyzn, że leżały ich całe rzędy na ziemi. Ona to wszystko widziała, gdyż była w święta u rodziny w Wawrze, obok miejsca, gdzie leżały trupy i było ich chyba sto. Wykrzykiwała te słowa bez przerwy. Ponieważ kobieta robiła wrażenie nienormalnej, a opowieść była wprost nieprawdopodobna, ktoś zaproponował, żeby zaprowadzić ją do znajdującego się obok szpitala, aby dali jej coś na uspokojenie i zamknęli, gdyż latała po całej ulicy. Gdy pobiegłem do domu i opowiedziałem mamie, o tym co widziałem, zabroniła mi wychodzić samemu na ulicę. Bała się o moje bezpieczeństwo, gdyż działy się wtedy różne niebezpieczne rzeczy.

Po powrocie ojca ze szpitala, potwierdziło się to, co wykrzykiwała ta kobieta. Rzeczywiście, w podwarszawskiej miejscowości Wawer, w dniu 27 grudnia 1939 roku Niemcy rozstrzelali 114 mężczyzn w zamian za zabicie przez kryminalistów dwóch podoficerów niemieckich. Z egzekucji tej uratowało się wtedy 7 Polaków, którzy odnieśli tylko rany. Ta egzekucja była strasznym wstrząsem dla polskiego społeczeństwa.

Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że nadejdą czasy, gdy egzekucje na Polakach będą dokonywane bardzo często na ulicach, pod ścianami domów.

Ojciec pracował w fabryce konserw i marmolady Woka przy ulicy Młynarskiej 26, kilkaset metrów od naszego domu. Należał do Armii Krajowej i z racji swojego zawodu elektryka był w łączności. Ja z siostrą roznosiliśmy gazetki, w tym Biuletyn Informacyjny. W przeciągu tych kilku lat okupacji Niemieckiej brałem też udział w szeregu działań wywiadowczych ojca, a w miarę dorastania poszerzał się zakres moich usług. Na początku dostałem zadanie zbierania kartek z adresami, jakie rzucali na ulicę ludzie, ujęci w łapanekach ulicznych. Pewnego dnia, gdy wracając ze szkoły poszedłem na ulicę Chłodną przy skrzyżowaniu z ulicą Żelazną, byłem świadkiem rozpoczynającej się obławy. Odbywało się to na przeciw narożnego budynku, zajętego przez Niemców przy Chłodnej 25 pod nazwą „Nordwache”. Przed domem tym były filary. Chciałem przejść na drugą stronę do bramy, gdzie w podwórzu znajdował się sklep z akwariami i rybkami. Nagle ludzie zaczęli uciekać. Gdy doszedłem do sklepu, właścicielka zamknęła się w nim razem ze mną i nie pozwalała mi wyjść. Na ulicy szaleli Niemcy, gonili ludzi i pakowali ich do bud. Dopiero, gdy budy ze złapanymi ludźmi odjechały, wyszliśmy ze sklepu. Na ulicy znalazłem trzy małe papierki z adresami złapanych ludzi i oddałem je ojcu.

Zaczelśmy też z siostrą roznosić „Biuletyn Informacyjny”. Najniebezpieczniejsze było przejście ulicą Górczewską pod wiaduktem kolejowym. Obok znajdowały się garaże Wehrmachtu. Stał tam żołnierz z karabinem i zatrzymywał niektórych przechodniów idących w kierunku ulicy Księcia Janusza. Kiedyś w niedzielę, a była to zima, przechodziliśmy tamtędy z siostrą, która niosła gazetki ukryte w mufce. Żandarm zatrzymał nas i nie pozwolił przejść. Nie pomogły nasze prośby, był zdecydowany i nawet nas uderzył, żebyśmy tylko się wrócili. Powinno to być dla nas poważne ostrzeżenie.

W tym rejonie, chłopcy, którzy nie mieli już ojców, a matki były bez pracy, zdobywali węgiel wskakując na odkryte wagony z węglem i zrzucali jego duże kawały. Inni chłopcy pakowali je do worków i uciekali.

Pewnego wieczora, chłopcy z Domu Wawelberga z ulicy Górczewskiej 15, przynieśli na kocu zabitego chłopca. Zastrzelił do Bahnshutz.

Miejsca szkół powszechnych, do których chodziłem kilka razy się zmieniały. Jakiś czas chodziłem na ulicę Karolkową 56, a gdy Niemcy ją zajęli, przenieśliśmy się do budynku w okolicy Wolskiej i Żelaznej, w pewnej odległości od muru getta i głównej bramy do niego. Tutaj zostaliśmy aż do czerwca 1944 roku.

Po przeciwnej stronie bramy getta stał budynek z załogą niemiecką. Przy bramie wejściowej do niego zainstalowany był telefon, a nad nim napis, że w razie jakichś rozruchów, czy napadów, należy zadzwonić na gestapo. Wchodziło się tam po schodach. Kiedyś jakiś chłopak, dla popisania się przed kolegami, zadzwonił, że gdzieś tam zbierają się konspiratorzy. Niemcy tam pojechali, a ojciec zakazał mi zadawać się z tym chłopcem.

W klasie było nas kilkanaścioro. Niektórych ojcowie zginęli na wojnie, bądź zostali wywiezieni do obozów. Była u nich straszna bieda, tak że nasza nauczycielka – Różycka, która podobno miała córkę, prosiła nas o przynoszenie dla nich jedzenia i ubrań. Ja zanosilem w pudle kawałki czekolady, gdyż ojciec pracował w fabryce konserw i marmolady, gdzie otrzymywał czasami deputaty.

Gimnazja i licea zostały ograniczone. Zakazane było noszenie ubrań szkolnych z lampasami u spodni. Niektórzy uczniowie nosili je jeszcze przez jakiś czas, ale groziła za to kara. Kiedyś widzieliśmy jak umundurowani Niemcy zbili i skopali dwóch uczniów, którzy mieli na sobie stroje licealne.

Nauka zaczęła schodzić do podziemi, powstawało tajne nauczanie. W szkołach zaczęły pojawiać się kontrole niemieckie, sprawdzające zakres i poziom nauczania w myśl rozporządzeń okupanta. Matematyki uczył nas pan Zadrozny, a śpiewu młoda nauczycielka grająca na skrzypcach.

Któregoś dnia do naszej szkoły przyszli inspektorzy niemieccy, celem sprawdzenia, czy przestrzegane są wytyczne. Uprzedziła nas o tym pani woźna, uchylając drzwi i dając umówiony znak nauczycielowi. Do klasy weszło trzech Niemców. Jeden usiadł w ławce na końcu klasy, drugi w pierwszym rzędzie, a trzeci tuż przy drzwiach. Powiadomiony już wcześniej nauczyciel pochował książki o historii Polski za wysuwaną tablicą. Jeden z inspektorów mówił po polsku, a pozostali tylko po niemiecku. Ich pytania były dosyć podchwytliwe, a poziom naszych odpowiedzi miał decydować o przydatności naszych nauczycieli do pełnienia swoich funkcji i przestrzegania zarządzeń władz niemieckich. Po kilku pytaniach i odpowiedziach, siedzący przy drzwiach Niemiec, zadał mi następujące pytanie: „Kto sprawuje rządy w Guberni Generalnej?” Pytanie było dla mnie tak trudne, że odebrało mi mowę. Spojrzałem na nauczyciela, a on stał przerażony, widząc moją minę. Bał się, że powiem coś nieodpowiedniego. Patrząc na niego, przypomniałem sobie lekcje o historii Polski i już wiedziałem co mam odpowiedzieć. Palnąłem głośno słowo „Król”. Chwila ciszy, bo Niemiec widocznie nie zrozumiał i spytał: „Kto?” Na to ja powtórzyłem głośno: „Król”. Po momencie ciszy rozległ się głośny ryk, nie śmiech lecz ryk. Pozostali dwaj Niemcy chcieli szybko się dowiedzieć, co spowodowało takie rozbawienie tego pierwszego. Gdy wykrzyknął po niemiecku „König”, znowu zapadła cisza i proszą o powtórzenie. Gdy padło to nieszczęsne słowo, szyby się zatrzęsły. Cała trójka ryczała ze śmiechu. A ponieważ byli to bardzo dobrze odżywieni mężczyźni, szyby mocno drżały.

Nauczyciel zbladł. Niemcy podnieśli się z ławek, porozmawiali z nim trochę, po czym rozbawieni wyszli. Wychowawca podszedł do mnie i krzyczy: „Coś ty narobił, wsadzą mnie za to do obozu koncentracyjnego”. Przelknąłem jakoś te uwagi, ale w domu, gdy opowiedziałem tę historię – stałem się bohaterem. Kiedyś, jak mama była z wizytą u nauczycielki, ta powiedziała jej, że Leszek jest nie tylko rysownikiem, ale i wielkim Polakiem i historykiem. Kolejna lekcja miała tragiczny przebieg.

W klasie, po odmówieniu modlitwy, chcieliśmy usiąść, ale nauczyciel podniósł rękę i kazał stanąć na baczność i nie podchodzić do okien. Staliśmy tak dosyć długo, on przechadzał się wzdłuż okien, w pewnej odległości od nich. Wreszcie wydał komendę – siadać. Nie zdążył czegokolwiek powiedzieć, gdy szybami zatrzęsło od huków z zewnątrz. Odpędził nas od okien, kazał stanąć na baczność i powiedział: „Przed chwilą rozstrzelana została wasza nauczycielka śpiewu”. Nie wiedzieliśmy czy była ona w konspiracji, nie znaliśmy jeszcze zagadnień tworzenia państwa podziemnego. Później w domu, gdy opowiedziałem, co się stało, ojciec już otrzymał o tym meldunek. Nigdy nie dowiedziałem się o dokładnym miejscu egzekucji nauczycielki. Później Niemcy rozwieszali na słupach powiadomienia o datach następnych egzekucji wraz z wykazem nazwisk skazanych.

Kiedyś rano szedłem do szkoły ulicą Leszno i tuż za Kercelakiem zobaczyłem Niemca, stojącego na środku ulicy nad otwartym włazem do kanału. Obok stała skrzynka, z której co jakiś czas wyjmował granat, nasłuchiwał, odbezpieczał i rzucał do kanału. Kercelak był jeszcze nieczynny. Tymi kanałami przechodzili Żydzi z pobliskiego getta na stronę aryjską. Gdy Niemcy rozpoczęli likwidację getta w 1943 roku, nad tą częścią Warszawy powstały olbrzymie chmury dymu z palonych domów. Toczyły się tam walki ze słabo uzbrojonymi Żydami. Po wszystkim zostały tylko olbrzymie połacie białych gruzów, które miały być z rozkazu Himmlera zrównane i zasiane trawą. Tysiące Żydów spędzono na Umslag Platz i wywieziono do obozu zagłady w Auschwitz. Może była tam matka z córeczkami z naszego domu, a może zostały już spalone. Nie mogę w to wszystko uwierzyć, a jednak tak było.

To było niesłychane zwyrodnienie rodzaju ludzkiego, wymordowanie wszystkich Żydów. My dzieci nie rozumieliśmy tych tragedii, gdyż wszystko zło było realizowane za murami getta. Na początku realizacji przez Niemców tego programu nikt nie spodziewał się aż takich zbrodni. Na początku Niemcy obiecywali dobre warunki mieszkaniowe w getcie, czego przykładem może być wyprowadzka z naszego domu rodziny żydowskiej. Otóż pewnego dnia stałem przed bramą naszego domu, a ze sklepu będącego pod naszym balkonem wyszła właścicielka, a jednocześnie sprzedawczyni, z dużą torbką, a z nią dwie córeczki w wieku 8-10 lat. Przechodzące w tym czasie kobiety, z sąsiedniego domu Wawelberga 15, zaczepiły ją, pytając dokąd wychodzi i czy ktoś będzie w sklepie podczas jej nieobecności. Zapytana zatrzymała się i z pewną dumą poinformowała kobiety, że przynosi się do getta, gdzie czeka na nią duże mieszkanie, a więc będzie miała tam większy luksus niż dotychczas. Pieniądze, które zabrała ze sobą, pozwolą jej na lepsze życie. Ja uwierzyłem w jej opowieści, ale zebrani wokół i przechodzący ludzie pukali się w czoło i radzili jej pozostanie tu, gdzie ma znaną klientelę. Po jakimś czasie pożegnała zdumionych ludzi i odeszła wraz z córeczkami. Być może, że obiecywano Żydom znośne warunki pobytu w getcie, gdy jeszcze nie było tam gęstego zaludnienia. Ale po przyjechaniu wszystkich z okolic Warszawy, na pewno powstał tam tłok.

Minął pewien czas od tego wydarzenia, aż jednej nocy gdy spałem obudziło mnie cichutkie pukanie do drzwi na parterze i kolejno coraz wyżej. Nikt jednak nie otwierał. Gdy do nas zapukano, mama wstała i otworzyła drzwi. Przed nią stała kilkuletnia dziewczynka, w rękę trzymała torbę i poprosiła o chleb. Ja też wstałem i przyglądałem się jej. Mama przekroiła bochenek na pół i podała jej połówkę. Ale gdy jej się bliżej przyjrzała, zrobiło jej się żal tego dziecka. Chciała jej dać tę drugą połówkę i włożyła jej do torby. Ona wyjęła ją i oddała mamie, mówiąc, że więcej nie może wziąć, po czym schodami zeszła na dół. Było to dziecko żydowskie o bardzo delikatnej i ładnej buzi. Jak się później dowiedzieliśmy, to obok naszego domu w szpitalu na ulicy Płockiej ukrywano część rodzin, które nie poszły do getta. Ciekawe, jaki był ich dalszy los, szczególnie w czasie powstania w sierpniu 1944 roku, gdy szpital został opanowany przez Niemców, a okoliczna ludność wymordowana. Fakt, że lokatorzy, do których pukano w nocy dobrze wiedzieli kto jest za drzwiami i nie otwierali, wynikał z treści rozporządzenia władz hitlerowskich, że za pomoc lub ukrywanie Żydów groziła kara śmierci. Taki zakaz obowiązywał jedynie w Polsce.

Pewnego dnia szliśmy z chłopcami prawdopodobnie ze szkoły, było bardzo gorąco, zauważyliśmy gromadkę ludzi stojących na chodniku, wpatrzonych w scenę, jaka rozgrywała się po drugiej stronie ulicy. Na niskim murku siedział mężczyzna, a nad nim stał Niemiec w mundurze, trzymał w rękę kij i systematycznie bił po głowie tego siedzącego. Słońce prażyło niemiłosiernie i łysa głowa tego człowieka była kolorowa, jakby różowa. Był on już rozebrany i po kolei przeglądał kieszenie wywracając je, czy czegoś w nich nie ma. Następnie zaczął zdejmować buty i starał się oderwać zelówkę, żeby pokazać czy nie ma tam coś ukrytego. Cały ten czas stojący systematycznie uderzał go kijem po czaszce, która była już zmasakrowana. Bity nie bronił się, ani nie krzyczał, nawet krew mu już nie leciała, co było widać z naszej odległości. Następnie zaczął zębami odgryzać obcas, ale nie mógł nic zrobić. Wreszcie Niemiec kazał gołemu zabrać ubranie i buty i iść do sąsiedniego fragmentu muru. Zniknęli tam na moment, rozległ się strzał i Niemiec wyszedł z wnęki. Ludzie i my już się rozbiegliśmy, a on poszedł sobie obojętnie. Był to prawdopodobnie zablakany Żyd, który jeszcze ukrywał się pobliskich ruinach już po likwidacji getta i Niemiec go złapał. Nie było wtedy kogoś z bronią wśród zebranych żeby zabić Niemca.

Dla nas chłopców z pobliskich domów ulubione były wyprawy na Dworzec Główny gdzie spiker mówił po niemiecku, wyprawy na Kercelak, łapanie ryb na gliniankach za wiaduktem na ulicy Górczewskiej, jeżdżenie tramwajem do lasu na Kole. Ulubionym jednak miejscem była Wenecja czyli wesołe miasteczko, róg Młynarskiej i Wolskiej. Były tam karuzele, na które wejście było dla chłopaków darmowe, za kręcenie drągów pod karuzelą. Była tu też „Beczka Śmiechu”, która pewnego razu spełniła patriotyczny wyczyn.

Otóż pewnej niedzieli, po przyjeździe z kościoła udałem się na Wenecję. Było rano, ludzi prawie jeszcze nie było, kolegów też jeszcze nie było. Nagle przyszedł umundurowany żołnierz niemiecki w towarzystwie kobiety, chyba Polki. Wracali z nocnej libacji w doskonałych humorach. Nagle jemu zachciało się wejść do beczki śmiechu i dopytywał się, co to jest i do czego to służy. Gdy kobieta wyjaśniła mu, na czym to polega, zażądał uruchomienia jej. Ale właściciela jeszcze nie było i nie miał, kto jej uruchomić. W pobliżu stała na słupku skrzynka z wyłącznikiem prądu. Znalazł się ktoś usłużny, który zaoferował się do uruchomienia Beczki, przy pomocy włamania się do wyłącznika. Dokonał tego i Beczka ruszyła bardzo powoli. Miała ona długość ok. 5 metrów i wysokość powyżej dwóch i wybita była wewnątrz grubym filcem. Parka wskoczyła do beczki i spokojnie przebiegali nogami i śmiali się. Ale jakiś dowcipniś włączył szybsze obroty, co jeszcze bardziej uradowało parę. Kilku chłopców też wskoczyło do środka i było wesoło. Jednak, gdy ktoś włączył wysokie obroty, szkop zaczął krzyczeć, a jego „frau” już leżała na dole i co chwilę z góry spadała na dno. Zebrani wokół widzowie, obawiając się przykrych konsekwencji zaczęli uciekać, a Niemiec i panna już leżeli na dnie i co chwilę spadali z pewnej wysokości. Ostatecznie wszyscy się rozbiegliśmy i dopiero zjawił się szef i zatrzymał beczkę. Dobrze, że kobieta uspokoiła Niemca i odeszli trochę zakurzeni. Na Wenecji był jeszcze teatrzyk „Chochlik” w rodzaju cyrku. Ale największą

przyjemnością było dla mnie chodzenie do kina na kroniki z frontów wojennych. Na ulicy Wolskiej była największa ilość kin w Warszawie. Bileterki pozwalały czasami przy małej frekwencji na widowni wejść niektórym chłopcom na samą kronikę za darmo. Jedynym kosztem było otrzymanie kilku kopniaków albo pięści, a bilet nosił nazwę „tylko świnię siedzą w kinie”. Jednak obejrzenie wojennych kronik było dla chłopca w moim wieku największą przyjemnością. Niektórzy starsi chłopcy niemal zawodowo trudnili się rozpędzaniem i biciem amatorów oglądania kronik filmowych, gloryfikujących wielkie zwycięstwa hitlerowców. Wenecja była piękna i wesoła do czasu, gdy w czasie Powstania Warszawskiego w dniach 4 i 5 sierpnia 1944 roku rozbite zostały przez Niemców barykady od ulicy Wolskiej, Młynarskiej i Górczewskiej, mordowano, a następnie palono zabitych tam powstańców i ludność cywilną.

Jedną z atrakcji było chodzenie po Kercelaku w czasie powrotu ze szkoły. Pewnego dnia przyszedł na Kercelak żołnierz niemiecki, który wracał na zasłużony urlop z frontu. Miał na sobie ładny mundur, buty, plecak oraz karabin. Zmierzał on w Aleje Jerozolimskie do Domu Niemieckiego Żołnierza. Jacyś amatorzy łatwego łupu nakryli go plandeką, zabrali wszystko ubranie buty i karabin i uciekli. Gdy handlarze go odkryli gołego, wezwali znajomego granatowego policjanta, żeby ten ratował sytuację, gdyż na słupie Niemcy przybili blachę z napisem „Za napad na Niemca – Kercelak zostanie spalony”. Wszyscy szukali złodziei, a Niemiec siedział cicho, gdyż za utratę broni czekała go surowa kara. Wiadomo było ogólnie, że Niemcy sprzedawali broń na bazarze. Nie wiem jak to się skończyło, ale szybko uciekłem do domu. Po tym wyjaśniło się, że sprzedawcy ubrali go, dali mu broń i obie strony były zadowolone i uratowane.

Warszawa miała też swoją atrakcję, był nią jedyny w mieście murzyn. Nie wiem czy Niemcy go tolerowali, jako nieczystego rasowo, ale raz go widziałem niedaleko Kercelaka. Wszyscy stawali zauroczeni gdy on powoli przechodził przez ulicę. Miał białego pieska. Po pewnym czasie zniknął.

Gdy Hitler napadł na Stalina w 1941 roku, co pewien czas ulicą Wolską, a następnie Skierniewicką maszerowały szeregi wziętych do niewoli żołnierzy rosyjskich wysokiej rangi w swoich charakterystycznych płaszczach, które nieśli na rękach. Zaczynała się nowa epopeja wojenna. Przed naszym domem zbierali się panowie i komentowali posuwanie się wojsk niemieckich w głąb Rosji.

Któregoś dnia byliśmy z siostrą w domu sami i usłyszeliśmy strzały i krzyki dobiegające z ulicy Górczewskiej. Wyszliśmy na balkon i widzimy jak od strony ulicy Młynarskiej biegnie mężczyzna w naszym kierunku. Na wysokości ulicy Sienkiewicza, gdzie był szpital z wojskowymi rannymi własowcami, wyskoczyło kilku ich kuśtykając na kulach i zaczęli strzelać do uciekającego. Jeden z nich złapał uciekającego za marynarkę, lecz ten zrzucił ją z siebie. Ponieważ uciekający mijał już nasz dom i nie było go widać, pobiegliśmy na klatkę schodową, z której okna wychodziły znowu na ulicę Górczewską oraz na ulicę Płocką i zobaczyliśmy jak ten mężczyzna doleciał do rogu ulicy Płockiej i przewrócił się przy stojącym tam krzyżu. Ci, którzy do niego podbiegli zaczęli podobno go kopać leżącego. Nie było widać, co było dalej, czy go zabili. Podobno miał on jakieś porachunki z kimś, kto mieszkał przy ulicy Młynowskiej albo Staszica. Coś tam było z napadem na żonę jakiegoś mężczyzny. Podobno dotyczyło to spraw politycznych.

Również gdy któregoś dnia szedłem z mamą ulicą Górczewską, przy przejściu na ulicę Wolską przy domu Wawelberga nr 15 zobaczyliśmy leżącego na ulicy mężczyznę, a przy głowie była kałuża krwi o bardzo jasnoczerwonym kolorze. Był to jakiś konfident gestapo. Został on zastrzelony przez podziemie w ten sposób, że jeden mężczyzna szedł do niego od przodu, a drugi od tyłu. Jeden wyrwał mu teczkę, a drugi strzelił do niego. Następnie uciekli przez przejście na ulicę Wolską. Jest to opisane w jakiejś książce wraz z podaniem nazwiska zastrzelonego.

Pewnej nocy obudził nas błysk reflektorów z samochodu, który podjechał pod naszą bramę od strony naszego balkonu. Wstaliśmy i widzimy, że wysiadło z niego dwóch Niemców w mundurach, obudzili dozorczynię, po czym weszli do domu. Po pewnym czasie wyprowadzili z mieszkania kobietę w nocnej koszuli, zostawili ją w pobliżu samochodu i z powrotem poszli do domu. Była wtedy zima, śnieg leżał dosyć gruby, a ta kobieta stała tam prawie goła. Czas mijał, patrzyliśmy na to z przerażeniem, a Niemcy nie wracali. Przecież mogli ją umieścić w samochodzie, gdzie siedział kierowca. Zdumiewające było to, że ta kobieta w ogóle nie ruszała się żeby się rozgrzać. Rodzice kazali nam położyć się spać, a samochód wreszcie odjechał z tą kobietą.

Ponieważ coraz więcej było aresztowań, a Niemcy stosowali okrutne metody przesłuchań, zdarzały się przypadki, że niektórzy żołnierze podziemia świadomie nie oddawali się dobrowolnie w ręce okupanta lecz w krytycznych momentach odbierali sobie życie. Dochodziły nas takie słuchy. Mama zabroniła, aby robić z naszego mieszkania skład amunicji. Krążyły nawet opowieści o przypadku, gdy konspirator zastrzelił żonę, dziecko i siebie, aby nie wpaść w ręce gestapo. Raczej nie zdarzało się, żeby ktoś przetrzymał tortury i dlatego struktura organizacji podziemnych była odpowiednio skonstruowana, aby jak najmniej wiedzieć. Kiedyś mama poruszyła te tematy, posądzając ojca o użycie broni w domu w ostateczności. Pewnego dnia kilku konspiratorów, wśród nich był ojciec przewoźni broń z ulicy Górczewskiej za wiaduktem kolejowym do fabryki Woka na ulicy Młynarskiej 26, gdzie ojciec pracował. Gdy jechali samochodem z bronią, zauważyli, że za nimi jedzie podejrzany samochód. Gdy dojeżdżali do

bramy fabryki, sprytnie otworzyli i zamknęli ją. Niemcy nie mogli, zatem wejść natychmiast. Ale weszli z pewnym opóźnieniem. W tym czasie Polacy wyjęli pakunki, jeden z nich wszedł z nimi do rozgrzanego pieca wytapiającego czekoladę. Mogli tam przebywać jakiś krótki czas. Po czym musieliby umrzeć z nadmiaru dopuszczalnej dla organizmu temperatury. Samochód został udostępniony Niemcom z innym towarem, rzekomo przywiezionym przed chwilą. Gdy Niemcy odjechali i otworzono piec, ten który poświęcił się tam zostać był już bliski śmierci. Był to mój ojciec. Jest to zdarzenie autentyczne. Wieczorem przyszedł do naszego mieszkania jakiś pan, powiadamiając mamę, że ojciec zasnął w pracy, ale już jest lepiej i jutro przyjdzie do domu. Dostaliśmy w nagrodę kilka kawałków czekolady.

Mnie też udało się kiedyś zapobiec być może groźnym wydarzeniom ze strony Niemców. Otóż pewnego dnia jak zwykle wybrałem się tramwajem do pewnego miejsca gdzie był rów z wodą. Miałem ze sobą słoik i małą ręczną siateczkę do łapania rybek, przeważnie zresztą kolek. Dojechałem do pętli tramwajowej, doszedłem do rowu gdzie płynął strumień obrośnięty wysokimi trawami. Zacząłem łapać rybki, nagle słyszę stukot butów, podnoszę się, a tu idzie na mnie żołnierz niemiecki z karabinem. Za chwilę zawrócił i tak w kółko. Nie widział mnie. Wyrzałem, żeby zobaczyć, co się dzieje. Otóż obok pętli tramwajowej stało kilka samochodów wojskowych, a w pobliżu przechadzali się żołnierze w mundurach oficerskich. Odczekałem odpowiedni moment i podczas gdy wartownik omijał mnie wyszedłem z rowu i spokojnie udałem się w kierunku tramwaju. Dojechałem szczęśliwie do domu i pukam do drzwi. Mama nie chce mnie wpuścić, gdyż jest w domu ważne posiedzenie. Ja się upieram, że mam coś ważnego. Wychodzi ojciec zobaczyć, co się dzieje. Dobrze, że szybko przyjechałem z tym meldunkiem. Okazało się, że Niemcy szykowali jakąś akcję przeciwko Polakom. Wykrycie ich zamiarów pozwoliło uniknąć pewnych strat konspiratorom. Później ojciec złożył mi podziękowanie oraz gratulacje od uczestników tego spotkania.

W którąś niedzielę rano wracaliśmy z kolegami z mszy z Kościoła Świętego Wojciecha na ulicy Wolskiej. Poszliśmy okreśną drogą w pobliżu glinianek i cegielni. Do cegielni zwykle baliśmy się wejść, gdyż mówiono, że została ona zaminowana przez Niemców, którzy obok mieli garaże i sprzęt samochodowy. Koledzy chcieli koniecznie wejść do środka, czemu ja się sprzeciwiałem. Ostatecznie jednak odważyliśmy się wejść do środka. Były tam podłużne korytarze do wypalania, dojście do wysokiego komina i było tam zupełnie ciemno. Przeszliśmy pewien odcinek korytarza – tunelu i zbliżyliśmy się do jakiegos zakrętu, szliśmy prawie po omacku. Gdy doszliśmy do rogu, trzeba było się zdecydować czy skręcić dalej. Nie było widać, co jest przed nami, a instynkt nie pozwolił mi iść dalej. Jakoś bałem się czegoś, co mogło być za rogiem. Kolega i pozostali, którzy trzymali się ze mną za rękę, popychali mnie do przodu. Ale ja czułem, że tuż przede mną ktoś stoi. Wyciągnąłem rękę, ale nikogo tam nie było i nic nie było słychać. Nagle coś przebiegło po ziemi, po chwili znowu coś jakby przeleciało. Z trudem wycofałem się przestraszony, popychając kolegów do tyłu i wyszliśmy na zewnątrz. Prawie biegiem uciekliśmy do drogi i dalej w kierunku do domu. Wyjaśnienie tych wydarzeń nastąpiło dopiero po 42 latach i wyglądało następująco: będąc w siedzibie LOT w Warszawie przy ulicy 17 Stycznia, gdzie coś załatwiałem, rozmawiałem z pracującym tam Generałem Brygady, dyrektorem PLL LOT Józefem Kowalskim. Któryś z nas wspomniął o cegielni i gliniankach na Woli. Otóż, co się okazało. W tym czasie i dniu, gdy ja z kolegami weszliśmy do cegielni, był to rok prawdopodobnie 1943, ukrywała się tu grupa mężczyzn, którzy uciekli z transportu wywożącego ich z Łodzi. Gdy my weszliśmy do cegielni, oni nas obserwowali i stali za rogiem muru, do którego my się zbliżyliśmy. Jeśli byśmy ich odkryli, a oni by nas po tym wypuścili, to prawdopodobnie wiadomość o tym rozniosłaby się po okolicy. Oznaczałoby to ich śmierć. W dodatku obok cegielni znajdowały się warsztaty samochodowe Wehrmachtu. Na moje pytanie, co byście zrobili, gdybyście wtedy weszli dalej w ten korytarz, on był tak wstrząśnięty naszą rozmową i tym spotkaniem, że rzucił się na mnie ze łzami w oczach, objęliśmy się nawzajem rękoma, gdyż ja również byłem bardzo wzruszony. Następnie powiedział, że śledzili nas od samego początku i byli zdecydowani nas złapać i związać, a nawet któryś z nich mówił o konieczności zlikwidowania nas, aby ich grupa mogła uratować swoje życie. Rzucali na ziemię drobne kamienie imitujące żywe stworzenia, żeby nas wystraszyć. To przeżycie było tak silne dla nas obu, że przez dłuższy czas on nie odpowiadał na pukanie do drzwi gabinetu. Po latach dowiedziałem się, że mój rozmówca już nie żyje.

Pewnego dnia w niedzielę ojciec wziął mnie na spacer po ulicach Woli, chodziliśmy szybko, była ładna pogoda, był czerwiec albo lipiec 1944 roku. Doszliśmy do ulicy Jaktorowskiej róg Towarowej nr 33. Był tam duży oszklony jakby magazyn samochodowy. Stało tam przed bramą na zewnątrz kilku chłopców i dziewczynka wszyscy w moim wieku. Byli trochę znudzeni i chyba skłóceni, że kazano im tak stać. Ojciec zostawił mnie w tym towarzystwie i kazał czekać na siebie. Czekaliśmy dosyć długo, nie znaliśmy się nawzajem, więc było nudno. Po dosyć już długim staniu ja podszedłem do drzwi, uchylilem je i zajrzałem do środka. Była tam duża hala, na wprost stał długi stół, po bokach jakieś części chyba samochodów. Za stołem stał mężczyzna, a po bokach dookoła stało kilku innych. Na stole leżały jakieś paczki popakowane w papiery. Ten za stołem przemawiał. Nie zauważyli, że ja jestem za uchylonymi drzwiami i dalej odbywał się wykład. Usłyszałem coś nie coś, był to wykład instruktazowy, jak obchodzić się z tym, co jest w paczkach. Niedługo to się skończyło, zamknąłem drzwi panowie kolejno wychodzili z hali. Gdy ojciec

wyszedł dał mi do potrzymania paczkę i spytał czy doszedłbym z nią do domu. Była dosyć ciężka. Wziął ją z powrotem i poszliśmy w kierunku domu. W czasie tego spaceru szliśmy wśród gruzów i otrzymałem instruktaż jak mam się zachować gdyby pojawili się Niemcy i ojca chcieli zabrać. Po drodze wybierał i pokazywał gdzie mam położyć i przykryć czymś tę paczkę, a po wszystkim jak mam ją donieść do domu. Po tym spacerze domyśliłem się, że ci chłopcy mieli pełnić rolę podobną do mojej. Podobnych spacerów było coraz więcej, szczególnie w maju, czerwcu 1944 roku, już po przelaniu się fali niemieckich uchodźców, którzy uciekali przez Warszawę na zachód ulicami Wolską i Górczewską. Co pewien czas rozlegał się strzał raczej pojedynczy z okien z okolicznych domów. Postrzelony został jeden z uciekinierów, który spadł z wozu i nikt po niego nie wysiadł. Później dopiero zabrali go uciekinierzy z innej fury.

Zaczęła wstępować w Polaków nadzieja, że już zbliża się koniec okupacji, a wojska rosyjskie z armią polską wkrótce przepędzą Niemców. Również w innych państwach Europy od zachodu, fronty przybliżają się do granic III Rzeszy.

Ojciec był w ciągłym ruchu konspiracyjnym. Pewnego dnia mama sprząając mieszkanie wyciągnęła spod tapczanu kaptcie, a w nich były dwa granaty. Nie wiem czy były one zdatne do użycia, ale po powrocie ojca, nakazała żeby je natychmiast wynieść. Innym razem, zdejmując płaszcz ojca, który wisiał w przedpokoju, znalazła w kieszeni pistolet. Coraz częściej za zlewem, za blaszaną obudową pojawiały się różne notatki konspiracyjne. Konspiratorzy byli coraz bardziej nieostrożni i zapominali o obowiązującej tajności. Niemcy znajdowali coraz częściej skrytki, w których przetrzymywano broń.

Coraz częściej ojciec zabierał mnie ze sobą na różne drobne akcje wywiadowcze. Pewnego dnia, a było to chyba przed wybuchem powstania, ojciec zdobył jakąś piłkę do gry i kazał mi iść z nim na spacer, w celu pogrania. Szliśmy ulicą Młynarską w kierunku cmentarzy. Ojciec cały czas trzymał tę piłkę w ręce i wciąż się rozglądał. Minęliśmy dwa cmentarze tj. Ewangelicko-Reformowany przy ulicy Żytniej i dalej następny Ewangelicki. Następnie w oddali był Kirkut z rosnącymi krzakami przy murze. Gdy doszliśmy do niego ojciec rzucił piłkę na ziemię i kopnął ją. Następnie kazał mi ją przynieść. Gdy to zrobiłem, kopnął ją jeszcze dalej i wciąż się rozglądał. Gdy ja kopnąłem ją w jego kierunku to podbiegł do niej i znowu kopnął. Tak graliśmy przez pewien czas. Wreszcie mnie to się znudziło i zaproponowałem żebyśmy poszli dalej w kierunku Koła, gdzie zwykle chodziłem z kolegami. Odpowiedział, że tam już nie wolno chodzić, gdyż Niemcy zabronili. Kopnął wreszcie mocno piłkę w stronę muru i wpadła ona w krzaki. Pobiegnę tuż pod mur, po czym powtórzyło się to kilka razy, aż wreszcie piłka poleciała prawie za mur, po czym odbiła się. Ja wszedłem w krzaki, gdzie ona leżała, tuż pod murem i gdy się schyliłem po nią, nagle nade mną wychylił się nad murem żołnierz niemiecki w hełmie, spojrzał na mnie i zaczął krzyżeć. Stał on po drugiej stronie muru na jakiejś konstrukcji. Ja rzuciłem piłkę w stronę ojca, a on znowu kopnął ją do mnie. Byłem przestraszony, gdyż Niemiec trzymał przed sobą długą lufę karabinu maszynowego. Biegnę do ojca, który nie widział Niemca, dobiegam do niego, a on krzyczy gdzie podziąłem piłkę. Dopiero coraz głośniejszy krzyk Niemca uświadomił mi, że jest źle. Gdzieś w murze była żelazna furtka, gdzie się schowaliśmy, a następnie zaczęliśmy iść z powrotem w kierunku tramwaju. Gdyby on pociągnął po nas serię, już by nas nie było. W ten sposób ojciec ujawnił stanowisko karabinu maszynowego. Zauważyłem, że ojciec idąc liczył kroki.

Na przełomie lat 1943-1944 w okresie zimy i wiosny nasiliło się przeprowadzanie egzekucji na Polakach. Miejscem ich były zwykle ściany domów i mury. W mojej dzielnicy na Woli, akurat naprzeciw naszego domu i obok naszego domu odbyły się cztery egzekucje. Jednej byłem pośrednim świadkiem. Pierwsza egzekucja odbyła się w dniu 23 grudnia 1943 roku pod murem nieczynnej fabryki tzw. Koronek na ulicy Płockiej róg Górczewskiej. Stał tam bardzo wysoki komin. Miejsce rozstrzeliwań było oddalone od ulicy Górczewskiej około 30 metrów. Około południa, róg tych ulic został obstawiony przez żandarmerię niemiecką. Z okna naszego mieszkania z balkonu miejsce egzekucji przysłał jedynie narożny budynek. Z balkonu widzieliśmy jednego Niemca leżącego na środku jezni ulicy Górczewskiej z karabinem maszynowym bardzo długim, skierowanym w kierunku ulicy Staszica. Pojawiło się przed naszym balkonem kilku Niemców z karabinami i automatami uniesionymi do góry w kierunku okien naszego budynku. Machali oni rękami dając znak, żeby nie zbliżać się do okien, gdyż będą strzelać. W międzyczasie siostra moja wraz z innymi lokatorami, stali na klatce schodowej na trzecim piętrze, której okna wychodziły na ulicę Działdowską. Widać stąd było budynek stojący przy ulicy Płockiej róg Górczewskiej. Ja w tym czasie miałem 11 lat i zostałem zamknięty przez mamę w mieszkaniu. Ludzie stali na schodach i obserwowali, co działo się przy murze fabryki koronek, gdyż tamtędy Niemcy prowadzili skazanych Polaków pod mur. Polacy ubrani byli w papierowe jakby worki. Z tego miejsca lokatorzy byli niewidoczni dla Niemców. Po pewnym czasie usłyszałem płacz na klatce schodowej, a w chwilę po tym straszną salwę karabinową. Za chwilę wpadła do mieszkania mama i przytuliła mnie, żebym nie słyszał dalszych strzałów, płakała i strasznie się trzęsła. Przerażony tą okropną salwą, którą słyszałem po raz pierwszy w czasie wojny i okupacji z tak bliska, czułem, że dalszych nie zniosę. Ludzie na schodach głośno płakali. Usłyszeliśmy drugą salwę i mama weszła ze mną do ubikacji, aby nie słyszeć dalszych odgłosów odbywającej się egzekucji. Po chwili sąsiedzi wbiegli do mieszkań i zaczęli się ubierać, aby wyjść na ulicę

jak Niemcy odjadą. Ci, którzy tam stali, opowiadali, że po obstawieniu ulic, wyprowadzono z bud mężczyzn w jasnych workach, czy też kombinezonach z zawiązanymi oczami i ustawiano ich dziesiątkami pod murem fabryki. Następnie na komendę oficera strzelano salwą. Po egzekucji, zabitych wrzucono do samochodów i odjechali. Podobno zabito wtedy 43 mężczyzn. Taka ilość jest podana na tablicy pamiątkowej znajdującej się obecnie w miejscu egzekucji na ścianie budynku mieszkalnego, gdyż muru już nie ma. Był już wieczór, gdy pod murem zapalono świece, a część ludzi maczała chusteczkę we krwi zabitych i przechowywali ją.

Po jakimś czasie, po egzekucji, gdy już było ciemno, Niemcy wrócili od ulicy Płockiej dwoma samochodami, wycelowali karabiny maszynowe na ludzi, lecz nie strzelali i nie podjeżdżali bliżej. Część ludzi uciekła, lecz część została jak sparaliżowana, a niektórzy ukłękli. Jak ojciec wrócił z pracy, było już ciemno i poszedł ze mną pod mur. Umoczył chusteczkę, a czerwona woda z roztopionego śniegu spływała prawie do ulicy. Ja znalazłem w resztkach śniegu kawałek chyba czaszki. W niedzielę zanieśliśmy go do kościoła Świętego Wojciecha i oddaliśmy księdzu. Następna egzekucja odbyła się po jakimś czasie tj. 13 stycznia 1944 roku w tym samym miejscu, podobno rozstrzelano 200 osób. Nas wtedy nie było, gdyż byliśmy u babci na Marymoncie. W różnych publikacjach są podane różne wielkości dotyczące rozstrzelanych.

Ponieważ przed domem Wawelberga przy ulicy Górczewskiej 15 dokonano dwóch egzekucji w podobnym okresie czasu, ale ja nie przeżywałem tak dokładnie egzekucji jak za pierwszym razem, nie mogę tego opisać. Pamiętam jednak, że któregoś dnia w czasie którejś egzekucji mama położyła mnie i siostrę na tapczanie, przykryła nas dużą ilością koców i kołdrą, pozasłaniała szczelnie okna, tak że nie przeżyliśmy takiego wstrząsu nerwowego jak przy pierwszej egzekucji. Sprawa tych egzekucji była wywołana przez przybyłego do Warszawy dnia 25 września 1943 roku Franza Kutschere, SS-Brigadeführer i Generalmajor policji. Postanowił on rozprawić się z podziemiem Polaków, stosując bandycką metodę częstego rozstrzeliwania Polaków na ulicach Warszawy. Zapłacił za to życiem w dniu 1 lutego 1944 roku, zastrzelony przez Polaków w Alejach Ujazdowskich w samym centrum dzielnicy niemieckiej. Stoi tam obecnie duży głaz z tablicą informującą o tym wydarzeniu.

Po licznych w Warszawie w tym okresie egzekucjach na podwórkach tych domów ustawiano ołtarze. Obok naszego domu też ustawiono ołtarz i wieczorami tam ludzie klęczeli i śpiewali. Kiedyś szedł tamtędy patrol niemiecki, był wieczór, paliły się świece, lecz nic nie powiedzieli, postali tylko jakiś czas. Po pewnym czasie jednak kazano rozebrać i zabroniono zbiorowych modłów. Jednak w tych czterech miejscach obok naszego domu gdzie były egzekucje, jeszcze bardzo długo były stawiane kwiaty, aż do Powstania.

W lutym 1944 roku, dowiedziałem się od kolegi, który mieszkał na ulicy Leszno, że na tej ulicy, naprzeciwko Gmachów Sądów, Niemcy powiesili ludzi. Rodzice zakazali mi chodzić w tamtym kierunku. Następnego dnia tj. 12 lutego wybrałem się tam, aby chociaż z daleka popatrzeć na to. W pobliżu była moja szkoła. Już przy ulicy Żelaznej przy Lesznie zobaczyłem Niemców stojących z psami. Przejście było dosyć ciasne, gdyż z lewej strony był mur getta, a z prawej na chodniku była góra śniegu. Ponieważ Niemcy kazali przechodzić w kierunku powieszonych, poszedłem trochę dalej, ale gdy zobaczyłem ich wiszących wróciłem szybko. Widok był przerażający. Za murem getta, pod balkonami wisieli mężczyźni na drutach. Przechodzących ludzi było niewiele i tym kazano specjalnie iść w tym kierunku. Przy ulicy Żelaznej stali w bramie ludzie i opowiadali jak to się stało. Jedna pani, która przez okno to widziała, mówiła że przywieźli ich już nieżywych w liczbie 27 i powiesili po ciemku na drutach pod balkonami. Te przekrzywione głowy wiszących, chociaż widziane z pewnej odległości, działały za mocno jak na mój wiek. Ale dookoła działy się podobne sceny. Na przykład róg ulicy Żelaznej i Chłodnej, gdzie często chodziłem wracając ze szkoły do domu, jeździły tramwaje bardzo zapchane. Część ludzi, szczególnie chłopaków jechała na cycku oraz na stopniach wagonu. Nie podobało to się pewnemu Niemcowi, który mieszkał w budynku Nordwacha na rogu tych ulic. Postanowił więc nauczyć Polaków porządku. Przyniósł krzesło, postawił przy przystanku, wziął ze sobą pałą gumową i tłukł tych, co jechali na stopniach, już gdy tramwaj ruszał. Ale Polacy nie chcieli, czy nie mogli wyzbyć się tej rozrywki i zastrzelili go któregoś słonecznego dnia.

## Powstanie

We wtorek pierwszego sierpnia 1944 roku ojciec poszedł do pracy, a ja z mamą i siostrą zostaliśmy w domu. Nagle z ulicy Górczewskiej dobiegł nas bardzo hałaśliwy odgłos nadjeżdżającego samochodu pancernego z Niemcami, który pomału zbliżał się do naszego domu. Mama wyjrzała przez balkon i kazała nam się schować w przedpokoju. Niemcy uzbrojeni w duży karabin maszynowy jechali bardzo wolno, rozglądając się dookoła. Samochód minął nasz dom, ale jeszcze długo słyhać było szum silnika.

Po południu, gdy ojciec wrócił z pracy z fabryki Woka przy ulicy Młynarskiej 26, gdzie pracował od kilku lat, mama opowiedziała mu o zdarzeniu. Ojciec zdenerwował się i zabronił wychodzenia na balkon.



Po obiedzie widziałem jak objął mamę, przytulił i coś jej mówił na ucho. Usłyszałem tylko, że mama powiedziała: „A jeśli Niemcy wrócą, to co z nami będzie?” Na to ojciec szeptem odparł, że potrwa to tylko trzy dni. Następnie pożegnał się z nami, wziął jakąś paczkę i wyszedł.

Kiedy byliśmy już sami i wyszliśmy przed dom, widzieliśmy jak szybkim krokiem ulicą Górczewską szły grupy, przeważnie dziewcząt, w kierunku wiaduktu kolejowego. Niosły zwoje przewodów i drutów oraz kilka drabin. Zaczął padać wtedy deszcz.

Wieczorem przyszły do naszego mieszkania młode kobiety, częściowo umundurowane i poprosiły nas o wyjście na ulicę, ponieważ muszą tu zrobić zebranie. Wyszliśmy przed dom, dookoła było spokojnie, ale w oddali słyszano się pojedyncze strzały. Przed wejściem do domu, leżały długie deski i bale, na których siedział mężczyzna, manipulujący przy pistolecie, skierowanym do góry, który raz wystrzelił. Widocznie, mężczyzna go sprawdzał. Gdy po pewnym czasie, wróciliśmy do mieszkania, zebrane tam dziewczęta już się rozchodziły, jednak dwie miały zostać na noc. Mama zaczęła ścielić łóżko i podniosła kapę, aby ją zdjąć z tapczanu. Spod kapy sturlały się granaty i jakieś inne filipinki. Mama zaczęła krzyczeć, że tu są dzieci i sąsiedzi i nie chce mieć tu amunicji. Dziewczęta pozbierały, więc to wszystko i wyszły. Pozostawiły jedynie stary karabin maszynowy. Był on długi, wyglądał na zabytkowy, z lufą obudowaną prostokątnym metalowym zbiornikiem na wodę do chłodzenia. Po pewnym czasie przyszli mężczyźni i zabrali go, stwierdzając, że nie da się z niego strzelać z balkonu, gdyż pręty balkonowe mają zbyt mały rozstaw, który uniemożliwia manipulację lufą karabinu. W nocy strzały w okolicy umilkły, pozwalając nam wreszcie się przespać. W nocy obudziła nas głośnie seria z karabinu maszynowego oddana z wybudowanej z bali drewnianej barykady. Ktoś z bramy zaczął krzyczeć: „Nie strzelać, gdyż Armia Ludowa minuje wiadukt nad Górczewską!” Następną noc spędziliśmy jeszcze w mieszkaniu, ale strzelanina w oddali wzmagala się. W nocy siostra obudziła mnie, gdyż pod naszym balkonem odbywała się jakaś narada. Słychać było podniesione głosy. Okazało się, że był to sąd wojenny nad volksdeutschami. Zapadały wyroki, między innymi w rodzaju – skazać na karę śmierci. Nad ranem, gdy się obudziliśmy, wszyscy udali się do budynku po drugiej stronie ulicy. Za tym domem znajdowały się tereny od dawna nieczynnej fabryki z bardzo wysokim kominem, otoczonej wysokim murem z czerwonej cegły. Tam właśnie odbywały się egzekucje, których Niemcy dokonali na Polakach w ziemie 1943 i wiosną 1944 roku

Tego dnia, gdy większość lokatorów naszego domu przeniosła się do piwnic, ja poszedłem do naszego mieszkania. Podeszedłem do okna balkonowego i w szybie zauważyłem dziurkę o średnicy 5 mm. Ktoś strzelał w nasze okno z domu z naprzeciwka. Myślę, że dlatego, iż na naszym parapecie stał wysoki słupek z kwiatkami, który przypominał człowieka. Ludzie strzelający do Polaków ukrywali się zwykle na strychach. Uciekłem zaraz do piwnicy, gdzie czekały mama z siostrą. Opowiedziałem lokatorom o zaistniałym wydarzeniu. Apelowano, więc do ludzi, żeby nie chodzili na górę do swoich mieszkań.

Następną noc z 3 na 4 sierpnia spędziliśmy już w piwnicy. Wszyscy lokatorzy poznosili tam koldry, lampy karbidówki i drobne meble. W naszej piwnicy ojciec wykopał kilka dni temu, a właściwie pogłębił dawny dół z 1939 roku i schował w nim pewne rzeczy. Część piwnicy zajmował węgiel i drewno na opał. Wejście do piwnicy było od bramy z ulicy Działdowskiej 18 oraz poprzez parterowy korytarz bramą od ulicy Górczewskiej 17b. W nocy przyszedł wreszcie ojciec w mundurze z latarką na piersi i powiedział, że zabiera nas do fabryki Woka na ulicę Młynarską 26. Szliśmy ulicą Górczewską wzdłuż domu Wawelberga i dalej mineliśmy niską barykadę przy ulicy Tyszkiewicza i ulicy Szlenkierów. Następnie doszliśmy do ulicy Młynarskiej. Przy każdej barykadzie ojciec legitymował się specjalną przepustką. Znaleźliśmy się w fabryce Woka, wciąż była noc, ale ojciec musiał już iść do swojego oddziału w okolice Cmentarza Ewangelickiego-Reformowanego. Pożegnaliśmy się z nim. Mama prosiła go, żeby z nami został, że to już niedługo będzie koniec powstania, przecież nie mamy żadnej porządnej broni itd. Ojciec odpowiedział jej, że jeśli nie wróci do oddziału to zostanie rozstrzelany.

Rano mama postanowiła przejść do ulicy Wolskiej, gdzie miała znajomych, ale tam już Niemcy przebijali barykady i wszystko płonęło. Wróciliśmy więc do Woki. Wkrótce zaczęło się straszliwe bombardowanie właśnie w tym rejonie. Mury fabryki trzęsły się, szyby się sypały, a my nie mieliśmy już, co jeść. Samoloty widać było gołym okiem. Krążyły nad rejonem do ulicy Okopowej i zrzucały bomby bez przerwy. Bomby nie były duże, ale było ich wiele. Po przespaniu nocy na siedząco, samoloty od rana znowu rozpoczęły bombardowanie. Żadna z bomb w nas nie trafiła.

Z boku przed fabryką stał mężczyzna niskiego wzrostu i bez przerwy strzelał z długiego karabinu do samolotów. Gdy nastąpiła przerwa i samoloty odleciały, mama spytała go o cel jego poczynań, przecież i tak nie trafi żadnego z samolotów. Kiedy znowu nadleciały, on dalej strzelał. Widzieliśmy wtedy, jak od ulicy Żytniej do ulicy Leszno szedł wysoki mężczyzna z małym chłopcem zwisającym mu na rękach. Nikt do niego nie strzelał, gdyż Niemcy nacierali wtedy ulicą Górczewską do ulicy Młynarskiej. Krzyknął tylko do nas, że Niemcy już strzelają do dzieci. Weszliśmy do piwnicy jakiegoś na wpół spalonego domu, gdyż w pobliżu odezwały się strzały. Przy stole siedziało trzech mężczyzn w cywilu i jadło przy dobrze zastawionym stole. Mama poprosiła ich, żeby dali coś do jedzenia dzieciom. Ku naszemu zdumieniu, ordynarnie odmówili i nas wyprosili. Było to na tyle przykre, że postanowiliśmy wrócić do Woki. W drodze nie spotkaliśmy żadnego powstańca, ani nie słyszeliśmy odgłosów walki. Tylko z okolicy ulicy

Wolskiej słyhać było wystrzały. Przechodzący obok nas ludzie cywilni mówili tylko, żeby stąd uciekać, że Niemcy są blisko i codziennie zabijają cywilów, w tym kobiety i dzieci. Rzeczywiście, jak się później okazało, dowództwo niemieckie zastosowało metodę szybkiego mordowania ludzi. Chcieli w ten sposób doprowadzić do załamania się powstańców i ich kapitulacji. Postanowiliśmy udać się na ulicę Żytnią. Jednak wtedy mama usłyszała jakieś odgłosy z piwnic fabryki Woka. Kazała nam zaczekać, a sama tam zeszła. Nie wracała bardzo długo, więc zaczęliśmy się niepokoić. Wreszcie wyszła, miała mokre ręce i nie mogła wydobyć z siebie głosu. Była bardzo zmęczona. Na nasze dociekliwe pytania odpowiedziała tylko, że w piwnicy leżą ranne kobiety i musimy uciekać. Nikogo nie było już w pobliżu, żeby pomóc kobietom. Szybko opuściliśmy Wokę i skierowaliśmy się do ulicy Żytniej. Weszliśmy do parterowego budynku pod numerem 39. Było tam trochę kobiet, a podłogę wysypano czystym piaskiem. Mama opowiedziała komuś o tym, co widziała w Woce. Zostaliśmy w budynku na noc.

Wczesnym rankiem, wszyscy zaczęli uciekać. Na przeciwko znajdował się mur Cmentarza Ewangelickiego-Reformowanego z wejściem od ulicy Żytniej 2. Dalej przy ulicy Karolkowej znajdowała się jakby barykada, ale z racji tego, że padało, było tam pełno błota.

Kiedy znaleźliśmy się na rogu Żytniej i Karolkowej, trzeba było przeskoczyć przez ulicę Żytnią do domu przy Karolkowej 78a. W czasie przeskoku, z lewej strony od ulicy Młynarskiej padły strzały. Trafiono biegnącego obok nas młodego powstańca w nogę. Zaczął krzyczeć, ale dał radę przejść na drugą stronę. Na rogu ulicy Żytniej i Karolkowej znajdował się w chodniku płytki okop, nad którym stał młody powstaniec z karabinem na ramieniu. Na drugim rogu stał budynek Domu Starców. Strzały od ulicy Młynarskiej ustały, widocznie powstańcy przepędzili Niemców. Od tego czasu miejscem naszego pobytu było podwórko na ulicy Gibalskiego 3, gdzie znajdowały się murowane filary. Przez jakiś czas do jednego z filarów przywiązany był nieduży koń o jasnej maści. Na to podwórko mężczyźni przynosili worki z kaszą, mąką, cukrem itd. ze zdobytych magazynów.

Był już czwarty lub piąty sierpień, gdy w ścianę budynku od podwórka uderzył granat i wybił dużą dziurę, a my puciekaliśmy do piwnic. Rozpoczął się wtedy ostrzał niemieckich granatników na Cmentarz Ewangelicko-Reformowany i sąsiedni Cmentarz Ewangelicki. Jak się dowiedzieliśmy po wojnie, na tych cmentarzach przebywał mój ojciec. Pokazał mi później kolumny grobowca, w który uderzył granat zabijając trzech i raniąc kilku powstańców.

Wycofując się przed ostrzałami, powstańcy przebijali się na Starówkę. W tym czasie mama otrzymała list od ojca, przekazany jej przez jednego z żołnierzy. W liście ojciec prosił mamę, aby pilnowała piwnicy, a szczególnie węgla, pisał, że już niedługo będzie koniec i wróć do domu. Mama przeczytała żołnierzowi treść listu, a ten oznajmił, że w domu na Górczewskiej są Niemcy, a wszyscy mieszkańcy zostali wymordowani.

Tymczasem, zastanawialiśmy się, co się z nami stanie. Niemcy znajdowali się już naprzeciw naszych piwnic przy ulicy Gibalskiego i Karolkowej. Pojawiły się propozycje ucieczki poza Warszawę lub na Stare Miasto. Zebrała się nawet grupka, która tam wyruszyła. Mama nie chciała nigdzie iść, gdyż słyhać było ciągle serie karabinów maszynowych od strony cmentarzy, w tym Powązkowskiego.

Niektórzy dziwili się, że powstańcy mają na tyle dużo amunicji, że mogą strzelać bez przerwy. Ktoś wyjaśnił, że strzelają tylko Niemcy i nikt tamtędy nie przejdzie. Zebrała się jednak grupa ludzi, zdecydowana uciec z terenów objętych walkami. Po pewnym czasie wróciła jakaś osoba, która z przerażeniem opowiedziała o ostrzeleniu ludzi, spośród których prawie wszyscy zginęli.

Co jakiś czas przez nasze piwnice przechodzili powstańcy kierujący się na Starówkę. Byli to nieuzbrojeni chłopcy, trzymali w rękach buty za sznurowadła i różne naczynia metalowe. Nie było dla nich żadnej broni, o czym z żalem mówili. Główne siły uzbrojonych powstańców już częściowo przebiły się na Stare Miasto. Długo trwały narady i rozmowy, co dalej robić, aż jedna energiczna pani zdecydowała żeby pójść do Niemców z białymi flagami i ulotkami zrzucanymi z samolotów, jakoby gwarantującymi przeżycie.

Zebraliśmy się w grupie kilkunastoosobowej, wśród nas był młody mężczyzna z małym dzieckiem na ręku i postanowiliśmy wyjść z budynku przy ulicy Karolkowej 78A. Nie wiedzieliśmy dokładnie gdzie są Niemcy, gdyż na naszym odcinku po ostrzale granatnikami nic się nie działo, panowała absolutna cisza. Zdecydowaliśmy się iść w stronę znajdującego się naprzeciw Domu Starców. Tam do tej pory nie było widać Niemców, a powstańcy byli daleko w rejonie ulicy Okopowej. Przekroczyliśmy ulicę Karolkową, z prawej strony był wykopany w piasku dół, stąd pewnie brany był piach do budowy barykady. Po lewej stronie znajdowała się ściana domu starców z tylnymi drzwiami, przez które dostaliśmy się do środka. Zobaczyliśmy tam pełno papierów i śladów po powstańcach. Na wprost znajdowały się główne drzwi, wychodzące na ulicę Żytnią. Mama odważyła się otworzyć te drzwi. Ku naszemu przerażeniu ujrzeliśmy młodego Niemca siedzącego w małym czołgu, obserwującego ulicę Karolkową. Mama szybko wycofała się do środka. Nagle z górnego piętra padł w naszym kierunku strzał. Przeważeni zaczęliśmy uciekać. Część osób zatrzymała się i zawróciła, a my z pozostałą grupą zdecydowaliśmy się na ucieczkę pod ostrzałem. Widziałem odpryski od kul na murach kamienic, słyszałem odgłosy strzałów. Mężczyzna z małym dzieckiem na ręku dobiegł do dołu, szukając w nim osłony przed kulami. Ja z mamą trzymając się mocno

za ręce schroniliśmy się w bramie, siostra pobiegła w kierunku podwórza. Po chwili umilkły strzały, na szczęście nikt nie ucierpiał. Grupa ludzi, którzy nie uciekli razem z nami przenocowała w domu starców. Rano Niemcy kazali im opuścić budynek grożąc podpaleniem. Gdy wychodzili z podniesionymi rękami jedna z kobiet została raniona w brzuch odłamkiem granatu. Mężczyzna z dzieckiem, który ukrył się w dole, po spędzonej tam całej nocy, został wyciągnięty przez Niemców. O losach tych ludzi dowiedzieliśmy się po kilku dniach, kiedy spotkaliśmy się w obozie przejściowym w Pruszkowie.

Niemcy zachowywali się dość dziwnie, nie atakowali, tylko czekali aż powstańcy się wycofają i dopiero wtedy wkraczali do akcji. Natomiast nasz los rozstrzygnął się nazajutrz. Noc spędziliśmy w piwnicy przy ulicy Gibalskiego 3. Od rana jeden staruszek stojąc na stołku obserwował przez okienko piwniczne, co się dzieje na ulicy. Nagle zauważył idących pod murami Niemców i dwa duże czołgi. Po chwili rozległo się walenie do drzwi naszej klatki i piwnicy. Po ich otwarciu dobiegł nas krzyk: „Wychodźcie i trzymać dokumenty w górze”. Mieliśmy wyjść z mamą jako pierwsi, gdyż była zasada, żeby nie puszczać na początku mężczyzn, gdyż wtedy Niemcy strzelali, albo rzucali granaty bojąc się ataku. Usłyszeliśmy głos młodego powstańca, że nie wyjdzie, bo ma przy sobie broń, i że się zastrzeli. Chłopak zasnął, gdy jego oddział przebiegał się na Stare Miasto. Staruszek powiedział powstańcowi, żeby wyrzucił broń, a wszyscy zaświadczą, że go znają i że nie brał udziału w walkach. Mężczyźni, którzy byli ze swoimi rodzinami, szybko się przebrali, żeby nie wyglądać na powstańców.

Wychodzenie ludzi opóźnia się, Niemcy krzyczą i grożą automatami i granatami. Przestraszeni, boimy się wyjść, ale jeden z Niemców idzie w naszym kierunku. Mama wymija go i uciekamy w kierunku ulicy Żytniej. Niemcy boją się tam przebywać, gdyż na nieosłoniętej ulicy narażeni są na strzały powstańców. Niemiec krzyczy, mierząc w naszą stronę automatem i pokazując, dokąd mamy iść. Na szyi miał zawieszony sznur granatów w kształcie jajek. Były to granaty niewyrządzające większych szkód, w przeciwieństwie do handgranatów, które miały dużą siłę rażenia. Żołnierz rzucił się w naszym kierunku, ale mama skręciła w bok i zaczęliśmy biec do ulicy Żytniej. Pozostali ludzie zaczęli wychodzić z piwnicy, ale nie wiem, co stało się z młodym powstańcem. Z ulicy Gibalskiego wyszliśmy na Żytnią 31/33 i dalej na podwórze w kierunku ulicy Leszno.

Zebrała się już dosyć liczna grupa, gdyż dołączali do nas ludzie z innych piwnic. Zaraz za podwórkiem, tuż przed domem na Lesznie, po prawej stronie stał budynek, przed jego bramą leżała kobieta z twarzą do ziemi, w mundurze, strasznie napęczniała od gorąca, musiała tam długo leżeć. Ludzie mówili, że dalej leży więcej ciał, ale ja tego nie widziałem. Wprowadzono nas do jakiejś hali, gdzie przy wejściu stał starszy Niemiec, który kazał oddawać wszystkie wartościowe przedmioty. Ściągał z rąk zegarki, obrączki, zabierał medaliki i to, co ludzie mieli ze sobą. Mama ukryła obrączkę, na rękę miała zegarek, trzymała też teczkę, w której był kawałek słoniny. Niemiec wyrwał teczkę i chciał zdjąć zegarek, ale zablokowała się sprzączka, więc szarpnęła z całej siły raniąc mamę w rękę. Odchodząc mama schyliła się po teczkę mówiąc, że ma w niej jedzenie dla dzieci. Niemiec nie protestował. Wszystkim kazano ustawić się pod ścianą. Przed nami, na środku stał karabin maszynowy starego typu, z siodełkiem, na którym siedział młody żołnierz i zakładał taśmę z nabojami, wyciągając ją z dużego metalowego pudła. W hali było bardzo gorąco, gdyż paliły się sąsiednie pomieszczenia. Ludzie pozbawieni od kilku dni wody zaczęli mdleć. Były tu same kobiety z dziećmi. Mężczyzn oddzielono zaraz po wyjściu z piwnic. Żołnierz, który obsługiwał karabin maszynowy robił to z widocznym zadowoleniem, uśmiechając się. Od czasu do czasu kierował lufę karabinu na stojących pod ścianą ludzi, robiło to na nas potworne wrażenie. Niemiecki oficer, w eleganckim mundurze, co jakiś czas zaglądał do hali jakby sprawdzając czy już można zaczynać egzekucję.

Trzy kobiety umalowały się pożyczoną szminką, ogarnęły się i klęcząc prosiły go, aby je wypuścił. Pod ścianą siedzieli półprzytomni z pragnienia ludzie. Po chwili wszedł żołnierz z pudłem pełnym kostek cukru. Idąc wzdłuż ściany kazał je brać, a tym prawie nieprzytomnym wkładał do ust.

Wśród ludzi poszła fama, że te kostki cukru podają przed egzekucją, żeby nas zamroczyć przed rozstrzelaniem, żebyśmy nie uciekali. Mama kazała nam wziąć cukier i skierować do ust, ale nie połykać tylko opuścić w rękę, a potem wyrzucić. Sytuacja była straszna, ponieważ wiadomo było, że w pierwszych dniach walk złapanych ludzi od razu rozstrzeliwano. W pewnym momencie do hali wjechał na rowerze młody żołnierz i podał oficerowi białą kartkę papieru formatu A5. Treść wiadomości została nam przetłumaczona. Darowano nam życie, jako ludności cywilnej, która nie brała udziału w walkach. Nie będziemy zabici, ale zostaniemy wywiezieni do Rzeszy do obozów pracy. Jak się później okazało był to rozkaz podpisany przez generała von den Bacha Zelewskiego.

## Kościół św. Wojciecha

Zostaliśmy skierowani do wyjścia na ulicy Leszno, gdzie przy przejściu szalał pożar w sąsiednich pomieszczeniach. Byłem w krótkich spodenkach i musiałem cały czas głaskać nogi, gdyż płomienie były bardzo blisko. Przeszkodą było też przechodzenie przez otwór w ścianie, zrobiony jeszcze przez powstańców. Tęgie osoby miały trudności z przedostaniem się przez niego na ulicę. Hamowało to

przemarsz ludzi. W międzyczasie oficer niemiecki uratował mojej siostrze życie, a na pewno uchronił przed zgwałceniem przez młodego żołnierza, który złapał ją za rękę i ciągnął w gruzy. Mama zaczęła krzyczeć, na co zjawił się oficer i zagroził tamtemu żeby nie przeszkadzał w przepływie ludności. Po pewnym czasie żołnierz pojawił się ponownie, jeszcze raz pociągnął siostrę za rękę grożąc karabinem. Na ogólny krzyk przyszedł oficer, tym razem wyjął pistolet, krzyknął na tamtego, a gdy on nie posłuchał, odbezpieczył broń i wszyscy stanęli przerażeni tym, co może się za chwilę stać. Żołnierz przestraszył się i odszedł, a my wyszliśmy na ulicę Leszno przez dom o numerze 24/26. Wzdłuż ulicy stali schludnie ubrani żandarmi.

Przechodziliśmy przez całe stosy banknotów 100 złotych, które rozwiewał wiatr. Uprowadzono nas, że jeśli ktoś schyli się po banknot to zostanie na miejscu zastrzelony. Jednak na dalszej naszej drodze w kierunku ulicy Młynarskiej znowu odbierano ludziom kosztowności, z tym, że tu grożono zastrzeleniem przy kontroli, jeśli ktoś nie odda. Wzdłuż naszych szeregów chodził młody cywil, mówiący płynnie po polsku i w dosyć uprzejmy sposób żądał złota, grożąc egzekucją. Był wyraźnie podпиты. Mama miała obrączkę i zapytała się go czy pozwoli jej uratować pamiątkę po mężu. Na to on powiedział, gdzie mama ma ją schować, radząc jednocześnie, aby ją jednak oddała. Mama schowała obrączkę i w ten sposób pamiątka rodzinna została uratowana. Zbliżając się do ulicy Młynarskiej zauważyliśmy ciemny dym wydobywający się z lewej strony terenu starej fabryki spalonej w 1939 r. oraz dalej z Wenecji, czyli wesołego miasteczka. Padł rozkaz, aby nie odwracać głów w lewo, tylko patrzeć na prawo. Ktoś powiedział, że palą tam zabitych. Jakiś staruszek zauważył swojego wnuka, idącego po murze, który zaraz został zastrzelony. Staruszek zaczął krzyczeć, więc i jego zabito.

Zatrzymaliśmy się wszyscy na rogu Górczewskiej i Młynarskiej, gdyż z dachu wysokiego narożnego budynku pod numerem 23 sprowadzono ukrywającego się tam powstańca. Na ulicy stali Niemcy z automatami skierowanymi w górę. Między wspomnianymi ulicami znajdowała się duża kapliczka, gdzie zawsze stało wiele kwiatów, a także zdarzało się, że nimi handlowano. Przed kapliczką, wzdłuż ulicy Młynarskiej, leżało obok siebie pięciu mężczyzn w mundurach. Byli spaleni, z brzuchów dwóch wystawały jasne wnętrzności. Ktoś powiedział, że to Niemcy zabici w czołgu, który został trafiony w pierwszych dniach powstania. Strzał oddano zza fragmentu muru spalonej fabryki. Kiedy prowadzono nas obok zwłok, mama rozpoznała w jednej z osób jakby naszego ojca. Chciała podejść bliżej, ale ludzie ją zatrzymali, gdyż mogłaby zostać zastrzelona. Ten leżący miał na sobie panterkę niemiecką taką jak ojciec. Dostał ją po zdobyciu magazynów niemieckich na Stawkach.

Gdy dochodziliśmy do ulicy Działdowskiej, przed naszym domem na ulicy Górczewskiej stał całkiem nowy czołg. Obok, przy stoliku siedziało trzech oficerów niemieckich. Sądząc po strojach, musieli mieć wysokie funkcje. Następnie skręciliśmy w lewo, w ulicę Działdowską. Wszędzie było cicho, ulice zostały posprzątane, po barykadach nie pozostał najmniejszy ślad. Wszystkie domy stały jeszcze niespalone. Jedynie w domu na rogu ulicy Działdowskiej przylegającym do domów Wawelberga, paliła się brama.

Trzeba zwrócić uwagę na fakt, że na wiadomość o wybuchu powstania w Warszawie dowództwo niemieckie musiało zmobilizować pewne siły by je stłumić. Sprowadzono więc tysiące kryminalistów, różnych narodowości, z różnych obozów i więzień. Niemieccy żołnierze wyraźnie różnili się od kałmuków i innych nacji, którzy byli kierowani do bezpośrednich niebezpiecznych działań. Niemcy prowadzili czołgi, obsługiwali ciężką broń, służyli w lotnictwie. Hitler na wieść o powstaniu w Warszawie rozkazał zabijać Polaków, a miasto zrównać z ziemią tak jak getto. Dopiero przyjazd do Warszawy generała von den Bacha Zelewskiego wstrzymał egzekucje cywili, które były wykonywane do 5 sierpnia 1944. To nas właśnie uratowało od śmierci.

Z ulicy Działdowskiej wyprowadzają nas na ulicę Wolską. Tu już jest porządek, długa fala ludzi przechodzi pomiędzy rozstawionymi żandarmami. Stoją oni dosyć daleko od siebie. W dali widać kościół św. Wojciecha. Po drodze wiele kobiet mdleje z pragnienia, jest straszny upał. Z prawej strony drogi stoją dwa duże samochody, na których stoją Niemcy z kamerami, kręcąc cały pochód. Jestem oburzony, więc wściskam się między ludzi, żeby nie być fotografowanym. Mama jest już u kresu sił, trzymamy ją z siostrą pod rękę. Dochodzimy do gruzów przy ulicy Syreny i tam jakaś staruszka przewraca się. Nie może iść dalej. Jej córka prosi Niemca, aby pozwolił jej odpocząć. Pozwala, odprowadzają ją pod mur. Jest to spory kawałek drogi. Pochód zatrzymano przed kościołem i córka posadziła matkę na murku. Tam staruszka zostaje sama. Wszyscy są zdziwieni decyzją córki. Ktoś twierdzi, że Niemiec zastrzelił staruszkę. Tak bywało dotychczas, gdyż słabymi nie miał, kto się zająć i zwykle byli dobijani. Długo się na nią oglądam, a ona wciąż siedzi. Wreszcie pochód rusza, oglądam się na żandarma, słyszę strzał i on opuszcza karabin. Patrząc na staruszkę, jest przechylona na bok. Jej córka już tego nie widzi, a idące kobiety oceniają sytuację, jako słuszne rozwiązanie problemu. Gdyby córka chciała dalej zajmować się matką i wypadków takich byłoby więcej, powstałyby dodatkowe komplikacje dla Niemców z transportem tysięcy ludzi, gdyż wówczas jedynym rozwiązaniem było dobijanie rannych i słabych.

Dochodzimy do kościoła św. Wojciecha. Przechwytnujemy krążącą butelkę z wodą, gasimy pragnienie. Wyrwywają nam butelkę. Co by było gdyby mama się przewróciła. Wchodzimy do bramy kościoła. Jeszcze tam kogoś wyciągają z tłumu. Rozkładamy się z lewej strony na trawniku. Można tu odpocząć, ale nie na

długo. Ściskają nas mocno przybyli ludzie. W pobliżu znajduje się pompa, czy kran z wodą. Idę tam zdobyć jakieś naczynie, ludzie się pchają, Niemcy wrzeszczą. Nie dostajemy żadnego jedzenia. Zbliża się wieczór. Ze zgrozą dowiadujemy się, że będą wybierać młode dziewczęta – obok są koszary wojskowe. Rzeczywiście, po trawniku wśród ściśniętych ludzi chodzą żołnierze i wyciągają młode kobiety. Sąsiadki radzą, aby siostrę potargać i wybrudzić twarz ziemią, robimy tak, wyrrywamy trawę. Rozlegają się krzyki, płacze, wreszcie strzały. Każą kłaść się na ziemię. Niemcy wrzeszczą, jest ich kilku. Podobno mamy wciąż tak leżeć. Nie wolno podnosić, nawet głowy. Po lewej stronie kościoła, tuż za nim, słychać płacz i krzyki zebranych młodych kobiet. Uprawdają je dalej. Pomału podnosimy głowy, minęła groza wystrzałów, ale pozostały płaczące matki uprowadzonych dziewcząt. Robi się szaro, każą nam wstać i wchodzić do kościoła. Obieramy sobie miejsce na drewnianych schodkach pod ołtarzem świętej Teresy z prawej strony głównego ołtarza. Zdobywamy trochę siana. Znam dobrze ten kościół, przez wiele lat chodziłem tu na msze. Wiem jak bardzo zimna jest tu posadzka, nawet w lecie, gdy trzeba było kłęzczyć w czasie nabożeństwa. Dlatego od razu ciągnę mamę do drewnianych schodków. Ostatnio nawet służyłem do mszy, ale jeszcze nie jako ministrant, tylko dzwoniłem na sanctus. Na murach i ołtarzu widzimy zapisane imiona i adresy ludzi, którzy byli tu przed nami. Wejścia do podziemi są otwarte, wszyscy omijają je ze strachem. Podobno leżą tam zabici. Ktoś mówi, że kościół ma być wysadzony w powietrze razem z nami. Ale uciekać stąd nie ma gdzie. Znajdujemy się w pobliżu bocznego wyjścia, podobno jest tam ubikacja, do której wchodzę przykucając pod murem, jest tu bardzo brudno. Z tyłu kościoła, z lewej strony stoją żołnierze, są pijani i wołają zachęcająco do kobiet żeby wychodziły, obiecując im wodę. Jedna z dziewczyn poszła do nich z wiadrem, zostawiając matkę w kościele. Zabrali ją i pomimo interwencji księdza nie udało jej się odebrać. W dalszym ciągu odczuwamy brak wody, trudno jest ją zdobyć. Chodzenie i szukanie jej w kościele jest utrudnione, gdyż tłum ludzi leży na sianie na posadzce. Rozmawiają ze sobą, mama wspomina, że brała ślub z ojcem w tym kościele. Cała nasza rodzina pochodzi z Woli. Z kościoła nie wolno wyjść, a kran z wodą jest na zewnątrz, można się do niego dostać przez drzwi od strony zakrystii. Znam to przejście i kobiety proszą abym poszedł po wodę, gdyż małemu chłopcu nic nie grozi. Dostaję jakieś naczynie i wychodzę. Z lewej strony z tyłu kościoła stoją zbite z desek długie stoły. Leżą na nich patelnie, garnki, resztki jedzenia po jakiejś libacji. Na trawie widzę porozrzucane damskie ubrania. Podchodzę do kranu, nabieram wodę i w oddali widzę żołnierza zawijającego w prześcieradło coś o podłużnym kształcie. Wydaje mi się, że jest to kobieta. Żołnierz nie ma siły jej podnieść, podciera kolanami, jest chyba pijany. Zobaczył mnie i woła żebym mu pomógł, nie mówił po niemiecku. Wreszcie opuścił pakunek na ziemię i dalej patrzy na mnie nawołując. Zaczynam uciekać do zakrystii, żołnierz biegnie za mną. Zamykam drzwi i pędzę do ołtarza, gdzie na schodkach siedzi mama. Opowiadam jej, co się zdarzyło, mama narzuca na mnie jakieś ubranie i każe położyć się na jej kolanach. Czekamy przestraszeni, ale nikt nie wchodzi, nie wiemy co robić. Prawdopodobnie ten żołnierz dźwigał kobietę owiniętą w prześcieradło chcąc ją gdzieś przenieść, może jeszcze żyła. Siedzące obok kobiety nie pozwalają, aby wezwać jakąś pomoc, boją się strzelaniny. Wszyscy wokół już śpią, ale sumienie nie pozwala kobietom zostawić dziewczynę bez pomocy. Podnoszą się i wraz z mamą i mną idą, chociaż jest już ciemno. Wychodzimy przed kościół i widzimy leżącego na ziemi żołnierza, a obok niego kilkunastoletnią dziewczynkę. Zbliżyliśmy się, a żołnierz podnosi rękę i wskazuje na leżącą po czym opada mu głowa, pewnie zasnął. Bierzemy dziewczynkę na ręce i kierujemy się w stronę kościelnego muru. Tędy nie wolno przechodzić, stoją tam jakby zakopane bale. Na trawie dostrzegamy grupę kobiet, prawdopodobnie są to matki zabranych dziewcząt czekające na ich powrót. Natychmiast zabrały dziewczynkę, a my skierowaliśmy się do kościoła. Nagle z budynku wyszło kilku żołnierzy i wołają leżącego kamrata na dalszą libację. Szybko uciekliśmy do kościoła i położyliśmy się spać, szczęśliwi, że udało nam się uratować czyjeś dziecko. Dalszych losów uratowanej nie poznaliśmy. Rano każą nam wstać i wyprowadzają nas na ulicę Wolską, po czym skręcamy w ulicę Bema, na której stoją ludzie i przyglądają nam się ze spokojem. Jesteśmy eskortowani przez gęsto rozstawione wojsko. Nikt nie może wy dostać się z długiego szeregu prowadzonych. Szczęśliwi są ci ludzie stojący na chodniku i wychylający się z okien, nie było tutaj walk powstańczych. Z prawej strony widać ogromne zbiorniki gazu na terenie gazowni, wydobywa się z nich olbrzymia chmura dymu. Boję się, że może nastąpić wybuch. Mijani po drodze ludzie nie dają nam nic do jedzenia, widocznie sami nie mają, zresztą przed nami przeszło tędy już wielu ludzi. Dochodzimy do pola przylegającego do Dworca Zachodniego, znowu towarzyszy nam niepewność, co z nami będzie. Odpoczywamy w okolicznych dołach, lecz po pewnym czasie każą wszystkim wstać i po kolei wsiadamy do wagonów towarowych, wspinając się po wysokich stopniach. Jest to bardzo trudne, Niemcy pomagają tym, którzy nie dają sobie rady. Wreszcie pociąg rusza. Jedziemy w nieznane, czy skończyło się już to straszne piekło, czy może być jeszcze gorzej?

## DULAG 121 – obóz w Pruszkowie

Dnia 7 lub 8 sierpnia 1944 roku w godzinach rannych, mama, siostra i ja wraz z tłumem Warszawiaków wysiedliśmy z wagonu towarowego przed bramą obozu w Pruszkowie DULAG 121, gdzie mieściły się Warsztaty Kolejowe. Na terenie obozu znajdowały się hale murowane i kanały betonowe dla taboru kolejowego oraz gromady ludzi, głównie kobiety i dzieci. Od chwili znalezienia się w obozie, zacząłem słabnąć i dwa razy zemdlałem. Nie mogłem w ogóle chodzić i siedziałem pod słupkiem. Spowodowane to było tym, że przez ostatnie kilka dni walk w Warszawie w dzielnicy Wola na ulicach Górczewskiej, Działdowskiej, Żytniej, Gibalskiego i Karolkowej, błakaliśmy się po piwnicach i nie mieliśmy prawie nic do jedzenia. Ponadto panował w tym okresie ogromny upał. Usiedliśmy w betonowym kanale pełnym smarów, w tłumie ludzi i myśleliśmy jak zdobyć pożywienie. Jednak do miejsc, gdzie rozdawano kawałki chleba stały długie kolejki, a zdobycie jakiejś zupy, gdzie też stały tłumy było niemożliwe, przez brak naczyń i łyżek. Nie pamiętam jak długo byliśmy w tym obozie, gdyż często omdlewałem, ale chyba dzień lub dwa.

Pewnego dnia zobaczyłem siostrę zakonną ciągnącą wysoki czarny wózek, wypełniony pokrojonymi kawałkami chleba. Wraz z dwoma innymi chłopcami w moim wieku (10-12 lat), podbiegliśmy do wózka, a ja chwyciłem kawałek chleba. Siostra zakonna zatrzymała się, wyrwała mi chleb i uderzyła po dłoni. Następnie odłożyła go na miejsce. Odganiała pozostałych chłopców, nie pozwalając zbliżyć się do wózka. Szliśmy za nią i błagaliśmy o chleb. Wtem doszliśmy do grupy trzech, elegancko ubranych mężczyzn i dwóch kobiet. Mężczyźni zaczęli nas odganiać. Jeden z nich popchnął mnie mocno, tak że się przewróciłem. Wtedy zobaczyłem, że jedna z kobiet odgarnęła kromki chleba i zaczęła wyjmować zawinięte w papier pęta kiełbasy. Jeden z mężczyzn odszedł od grupy i zaczął się rozliczać z dostawczynią żywności.

Nie miałem już siły stać, załamałem się i usiadłem na krawędzi betonowego kanału, osunąłem się na ziemię i leżałem. Po pewnym czasie usłyszałem straszny krzyk mamy: „Dziecko umiera”. Mama z siostrą podniosły mnie, ale nie mogłem ustać. Jakaś staruszka też zaczęła mnie podtrzymywać, a ludzie wokół wołali, że trzeba iść do lekarza i pokazywali gdzie to jest. Poszliśmy tam, gdzie stała długa kolejka ludzi. Po pewnym czasie podeszły do mnie dwie lekarki (były to dr Izabela Wolfram i dr Julia Bielecka). Rozpoznałem je po wojnie na zdjęciach w książce Edwarda Kołodziejczyka „Tryptyk warszawski – wypędzenie DULAG 121 tułaczka”, wydanej w 1984 roku. Lekarki dokładnie mnie zbadały, zadały szereg pytań, dały mi pewnie jakieś leki i powiedziały, że jestem poważnie chory i w warunkach, jakie panują w obozie mogę umrzeć. Uznały za konieczne odwiezienie mnie do szpitala w Łowiczu. W celu zdobycia skierowania ustawiliśmy się w kolejce do lekarza Niemca, który miał wydać mi przepustkę i skierowanie. Mama zwróciła się do lekarek z żądaniem pisemnego zapewnienia, że dziecko zostanie jej zwrócone po wojnie, co byłoby dosyć trudne do zrealizowania. Lekarki naradziły się ze sobą i zaraz odeszły pozostawiając nas w kolejce. Przed mamą była trudna decyzja – czy ma oddać dziecko Niemcom. Stojące obok nas kobiety słyszące to wszystko, powiedziały, żeby tego nie robiła, bo dziecko na pewno nie zostanie oddane, tylko je gdzieś wywiozą.

W międzyczasie nadszedł lekarz Niemiec, zatrzymał się przy mnie (pewnie, dlatego że byłem jedynym dzieckiem w kolejce), przyjrzał mi się, po czym popchnął tak, że się prawie znowu przewróciłem. Być może uznał, że mogę zostać w kolejce jako chory, ponieważ sprawdzał w jakim stanie fizycznym jestem. Gdy Niemiec odszedł na swoje stanowisko, mama wzięła nas za ręce i uciekliśmy z powrotem do hali.

Dalej czekały nas głód i poniewierka, a ponieważ były to pierwsze dni od rozpoczęcia powstania w Warszawie i początek utworzenia obozu, nie była jeszcze w pełni zorganizowana pomoc PCK i lokalnych organizacji charytatywnych. Pomimo tylu nieszczęść, jakie spotkały naszą rodzinę, miało na nas spaść w tym obozie jeszcze jedno tragiczne przeżycie. Rozpoczęło się segregowanie i rozdzielanie ludzi. Rozdzielano całe rodziny. Matkom zabierano dzieci. My też musieliśmy przez to przejść. Przebiegło to w następujący sposób: z prawej strony znajdowały się hale gdzie stał tłum kobiet i dzieci oraz kilku mężczyzn, a z lewej strony stał Niemiec w mundurze z opaską na ramieniu z czerwoną swastyką. Był raczej niskiego wzrostu, w wieku około 35 lat. Za nim stała grupka ludzi. Dalej z lewej strony stała grupa kilku dziewcząt w wieku 15-18 lat, dosyć ładnie ubranych (chyba nie były w piwnicach w czasie powstania). Z tyłu chodził żołnierz z karabinem, w mundurze innym niż niemiecki.

Gdy przyszła na nas kolej, mama trzymała nas za ręce i stanęliśmy przed Niemcem. On natychmiast złapał siostrę za rękę i mocno szarpnął na bok. Mama nie chciała jej puścić i mówiła, że to jej córka i jej nie odda. Na to Niemiec szarpnął siostrę kilka razy, jeszcze mocniej, ale mama nie pozwoliła odebrać sobie dziecka. Wtedy on wyjął pistolet i przystawił mamie do twarzy, był wściekły. Ja rozglądałem się dookoła i widziałem jak grupa odebranych samotnych dziewcząt z wielkim zaciekawieniem i napięciem patrzyła na przebieg tej szarpaniny. Możliwe miały nadzieję, że uda im się uciec. Niemiec widząc, że nie uda mu się odebrać dziecka (siostra miała 14 lat), schował pistolet i kazał nam stanąć z tyłu za sobą – później się z nami rozprawi. Stojąc za Niemcem słyszymy, że z grupy już raz rozdzielonych ludzi, dobiegają nas wołania kobiet, aby do nich przyjść. Jedna z nich mieszkała w naszym domu, zdaje się, że dentystka.

Słyszac to, mama trzymajac nas za ręce zaczyna isc w kierunku kobiet i stojacych tam wagonow. Wtedy zolnierz pilnujacy porzadku z tyłu, krzyczy po polsku (byl to chyba Ukrainiec), zeby wracac, zdejmujac z ramienia karabin. Bylem przerazony i chcialem posluchac zolnierza, ciagnac mamę do tyłu, jednak ona juz biegła z nami i zawołala do zolnierza, zeby nie strzelal. Bylimy juz blisko tłumy kobiet, gdy rozdzielajacy Niemiec zobaczył, co robimy. Przerwal swoje zajecie, wyjal pistolet i pobiegł w naszym kierunku. Kobiety z tłumy rozstapily sie i wpadlimy między nie. Niemiec zaczął przeciskac sie przez tłum. Jedna z kobiet złapala mnie za głowę i przycisnela do ziemi, aby mnie ukryc. Gdy Niemiec zobaczył, ze na jego stanowisku ludzie zaczęli sie rozlatywac i powstal balagan, musial wrócic z powrotem. Nasza rodzina zostala uratowana od rozłaki.

Co sie stalo z dziewczynkami, które zostały wtedy odebrane matkom? Po wojnie ujawniono, ze przewieziono je do obozow koncentracyjnych w Auschwitz i Bergen-Belsen.

Po latach zastanawialem sie, czy byl to jedyny przypadek przeciwstawienia sie Niemcowi przez matke Polke, która wywalczyła ratunek dla swojego dziecka. Moze zostalo to sfotografowane lub gdzieś zapisane, albo moze żyją jeszcze świadkowie takich wydarzeń.

Jak straszne byly działania Niemców, majace na celu realizacje hitlerowskich planow wykorzystania sily roboczej podbitych narodow. Po tych strasznych rozłakach zaczęto nas wypychac do wagonow towarowych w ilosciach takich, ze można bylo tylko stac. Nie moglem nawet usiac pod sciana wagonu, tylko opieralem sie o mamę i siostrę. Pociąg ruszył. Jechalismy na tulaczke w nieznanne.

## Wywózka do obozow w Niemczech

Dnia 8 sierpnia 1944 roku wyjechal z obozu w Pruszkowie pociąg towarowy z warszawiakami w kierunku zachodnim. Byly w nim w wiekszosci kobiety, niektore z dziećmi oraz niewielu mężczyzn w cywilnych ubraniach. Po kilku godzinach pociąg zatrzymal sie w okolicy dawnej granicy polsko-niemieckiej. Otworzono drzwi i niektórzy mężczyźni i kilka kobiet wysiadło na rosnać wokół trawę. Zaczely sie rozmowy na temat celu naszej podrózy oraz, ze nalezaloby tu pozegnac Polske. Niektórzy zabrali do torebek ziemie, czesc odeszła na strone. Pociąg stal tu dosyc dlugo, totez odbyła sie uroczystosc pozegnalna. Spiewano pieśni narodowe. Wreszcie ogłoszono odjazd, zamknieto z zewnatrz drzwi i tylko przez zakratowane okienka dochodzilo powietrze i bylo cos widać. Po pewnym czasie ciemność rozswietlily widoczne z dala wybuchy, które nasilaly sie w miare dalszej jazdy. Byly one tak potężne, ze zatrzęsly sie wagony. Okazalo sie, ze zblizalismy sie do Berlina, który jest bombardowany. Eksplozje bomb byly coraz bliżej naszych wagonow. Ogarnela nas panika, ze sie spaliny w wagonach. Nalot trwal bardzo dlugo, z czestymi przerwami. Nie bylo mozliwosci otwarcia drzwi, gdyż byly zaryglowane od zewnatrz. Ludzie plakali, krzyczeli, walili w sciane. Nikt nie odpowiadal z zewnatrz. Wreszcie bombardowanie sie zakonczylo. Pociąg stal bardzo dlugo. My spalimy prawie na stojaco, nie bylo nic do picia. Byc moze tory kolejowe zostaly uszkodzone. Rozsunieto drzwi i wyszlimy na powietrze. Zblizal sie poranek, ale zadnej pomocy nam nie udzielono. Po dluzszym czasie pociąg ruszył i wjechalismy do centrum Berlina. Jak sobie przypominam, zatrzymalismy sie niedaleko gmachu Reichstagu, gdzie widocznie byl dworzec. Po pewnym okresie postoju pociągu pozwolono nam wysiac i mogliśmy wyjść na zewnatrz, pod warunkiem przestrzegania umowionej godziny powrotu. Panowal tu straszny balagan, masa ludzi przechodzila przez dworzec. Nasze mamy nawiazaly kontakt z księdzem Niemcem z pobliskiego kościoła, który sam do nas przyszedł. Prosil go, zeby odprawil msze swięta za naszych ojców i mężow, zabitych byc moze w czasie powstania. Zazadal jednak zebyśmy zalatwili przydzial znaczkow z literą P, bez których nie wolno chodzic Polakom. Prosil tez o zebranie od wszystkich datkow na odprawienie modlow. Jednoczesnie, w trosce o bezpieczenstwo naszych wartosciowych przedmiotow takich jak złote obrączki, pierścionki itd. zaofiarowal sie, ze przechowa je w bezpiecznym miejscu az do naszego powrotu z obozow, do których nas prawdopodobnie wioza. Nasze matki odpowiedzialy mu, ze nie maja zadnego zlota gdyż wszystko, co mialy odebrali im zolnierze niemieccy w Warszawie pod grozba zastrzelenia w przypadku odmowy. Na te slowa ksiadz sie strasznie obruszył i kazal natychmiast wyjść z kościoła, a scislej z bocznej nawy gdzie przebywalismy. Po tym zdarzeniu nasze matki naradzily sie na dworcu i zebraly kilka obrączek i jakichs innych drobiazgow, które uratowaly z powstania. Mama nie dala swojej obrączki i mam ją do dzisiaj, jako swiętosć. Kiedy ponownie zjawilismy sie w kościele i kobiety wręczyly dar, ksiadz wytłumaczył, ze robi to tylko dla ich dobra, aby uniknely jakichkolwiek napadów. Przyrzekl, ze jak miną te zle czasy to odda je z powrotem. Wizyta nasza trwala tym razem kilka chwil, ksiadz uczynil znak krzyza i kazal nam natychmiast wyjść. Prawdopodobnie obawial sie konsekwencji ze strony wladz za kontakty z Polakami. Na dworcu przebywalismy kilka dni, do czasu naprawienia torow kolejowych. Wiekszosc dnia spedzałem na ulicy. Nie pamietam, kto i kiedy dawal nam cos do jedzenia. Raz w tłumie wszedł na mnie i zderzył sie prawie Niemiec – gruby i wysoki. Był w cywilnym ubraniu. Spojrzal na znaczek P na moim rękawie a potem na mnie z taką wielką nienawiscia, jaką można tylko sobie wyobrazic. Gdyby to spotkanie bylo na otwartym terenie to z pewnością zabilby mnie. Pewnie mial

jakieś porachunki z Polakami. Innym razem widziałam jak ze schodów Reichstagu schodził jakiś starszy pan i już na samym dole przewrócił się i spadł. Nie podniósł się, pewnie zemdlął. Był bardzo elegancko ubrany i wyglądał na kogoś znaczącego. Długo leżał i nikt do niego nie podszedł. Stałem z dala i obserwowałem go. Dopiero po jakimś czasie podszedł do niego policjant i zabrali go. Wreszcie przyszedł opiekujący się naszą grupą Niemiec i zarządził zbiórkę. Wsiadliśmy do bydłowego wagonu, który zaryglowany był z zewnątrz i pociąg ruszył w dalszą drogę. Wciąż brakowało nam pożywienia i picia. Nie dostaliśmy nic. Gdy pociąg zwalniał, krzyczeliśmy do przechodzących Niemców z prośbą o wodę, ale nikt nie zatrzymał się. Wreszcie po kilku godzinach jazdy, pociąg zatrzymał się w Oranienburgu w szczerym polu. Po prawej stronie znajdowało się wysokie ogrodzenie z siatki, obok były latryny i kran z wodą oraz duży kocioł z nieosolonymi gotowanymi kartoflami. Za ogrodzeniem w prawo teren był porośnięty trawą. Dalej teren się obniżał i nic nie było tam widać. Tylko jeden mężczyzna pracował z grabiami i przyglądał się nam. Pociąg stanął i nadeszli niemieccy żołnierze z karabinami. Ubrani byli w wyjątkowo eleganckie czarne mundury i lśniące czarne hełmy. Po otwarciu drzwi wagonów, kazano nam wysiąść i zaczęto oddzielać mężczyzn. Szybko pobiegłem wraz z innymi ludźmi do kranu i do latryn. Od strony wagonów słychać było straszny krzyk, szczególnie kobiet. Niemcy rozdzielali rodziny zabierając wszystkich mężczyzn. Nastąpiło brutalne bicie kolbami karabinów po głowach i rękach ludzi, którzy się obejmowali i żegnali. W jednym przypadku żołnierze nie mogli rozłączyć rodziny z małym dzieckiem. Gdy zaczęli bić kolbami, uderzyli widocznie dziecko. Na co jego ojciec rzucił się na Niemców. Matka z dzieckiem leżała na ziemi. Mężczyznę zabrano siłą. Nie wiem, co zrobili temu dziecku. Myśleliśmy, że będą strzelać, gdyż grozili karabinami.

Szybko pobiegłem z jakimś garnuszkiem do kranu po wodę. Następnym razem wziąłem trochę kartofli, ale pociąg już powoli ruszał. Przerazone kobiety z mamą wyciągnęły do mnie ręce i w ostatniej chwili wyciągnęły do wagonu. Co by się ze mną stało, gdybym tam wtedy został sam? Po pewnym czasie dojechaliśmy już, same kobiety i dzieci, do następnej stacji i zaczęliśmy wysiadać. Prowadzący nas Niemiec w eleganckim mundurze kazał ustawić się w równy szereg. Weszliśmy do niskiego lasku. Po drodze, z prawej strony stały kilkupiętrowe domy z czerwonej cegły i wyglądały z nich stare Niemki. Patrzyły na nasz pochód bez specjalnego zainteresowania, jakby znudzone i obojętne. Widocznie przyzwyczajone do takich widoków. Doszliśmy do obozu w Bergen-Belsen. Samego obozu nie było widać, podobnie jak w Oranienburgu. Pamiętam, że za przejściem przez furtkę przy ogrodzeniu z siatki, po prawej stronie stała duża i wysoka platforma zbita z desek, na której stało trzech Niemców z koszem pełnym połówek chlebów. Rzucali chlebem w otaczającą ich gromadę kobiet i coś tłumaczyli. Ja stałem z tyłu i rozglądałem się dookoła. W odległości kilkunastu metrów od furtki, po prawej stronie stał stos kolorowych pantofli damskich. Przeważał kolor złoty. Wyglądały na pochodzące z południowych stron Europy lub należące do Cyganek. Stos miał wymiary 5 na 4 na 2 metry, a pantofle były tak starannie i ściśle dopasowane. Stałem przed nimi wpatrzony i zdumiony. Niemcy na platformie opowiadali coś, co wywoływało głośny śmiech kobiet. Słychać było wesołe rozmowy kobiet z Niemcami. Sytuacja nie wskazywała absolutnie na to, że znajdujemy się w obozie koncentracyjnym, gdzie zginęło wielu ludzi. Wyzwalające ten obóz wojska amerykańskie, jakiś czas po naszym pobycie, zastały tam całe stosy trupów. Następnie przyszła noc i kobiety rozeszły się po kilku niewielkich barakach ze słomą i kocami. Jakiś starszy Niemiec powiedział mamie, żeby nie szła do dalszych baraków tylko do tych z brzegu. Odnosiło się wrażenie, że był to teren jakby przed główną częścią obozu. Dalej nie było nic widać. Powietrze było tu dziwnie zadymione, tak że w nocy źle spaliśmy mimo wielkiego zmęczenia. Następnego dnia rano nadzorujący nas Niemiec poprowadził nas przez niski zagajnik do bydłych wagonów i pojechaliśmy dalej. Wszystkie kobiety i moja mama zastanawiały się, co ma znaczyć ta podróż po obozach i kiedy to się skończy. Wszyscy byliśmy już strasznie zmęczeni i zagłodzeni. Pociąg wreszcie się zatrzymał, była połowa sierpnia 1944 roku. Wsiadliśmy z wagonów na stacji kolejowej Haupt Bahnhof w Hannoverze. Skierowano nas do łaźni miejskiej, gdzie wykąpaliliśmy się pod prysznicami i ubrania nasze zostały zdezynfekowane. Były tu tylko kobiety i dzieci. Następnie szliśmy bardzo zmęczeni środkiem wybrukowanej ulicy. Ulica była całkiem pusta. W oknie na parterze jednego z domów ukazała się stara kobieta, która na nasz widok zaczęła bardzo głośno krzyczeć, co część kobiet odebrała, jako niezadowolnienie z naszego przybycia, a część rozumiała, jako protest przeciwko takiemu traktowaniu niewinnych istot, gdyż nasz widok był przygnębiający.

Wprowadzono nas na teren starej, nieczynnej, być może zbombardowanej fabryki, gdzie mieścił się obóz Gemeinschaftslager przy ulicy Leinaustrasse 27 nad kanałem rzeki Leina. Na placu przed fabryką kobiety zaczęły szykować coś do jedzenia, szczególnie dla małych dzieci. Nie wiem skąd znalazła się jakaś żywność. Pojawiły się miski do mycia. Ten obóz nie był przygotowany na przyjęcie ludzi. Powstanie w Warszawie zaskoczyło Niemców.

Ugotowano kaszę manną dla dzieci, którą ja też dostałem. Powoli zacząłem się rozglądać po okolicy. Ucieszyło mnie, że tuż obok był brzeg rzeki Leina. Poszedłem zobaczyć czy widać wśród trzcin jakieś rybki. Na lewo, dalszą drogę zagrażał wysoki mur, za którym był jakiś ogród. Było tu cicho, nikt nie strzelał, tak jak w Warszawie. Po pewnym czasie zebrano nas i ustawiono w szereg. Było gorąco i dużo



słońca. Przed nami zaczęła przechadzać się Niemka w mundurze i swastyką na ramieniu. Zaczęła wyjaśniać przez naszą tłumaczkę jak mamy się zachowywać, że musimy być posłuszni i sumiennie wykonywać nakazane nam obowiązki. Właściwie to bardzo głośno krzyczała, a ponieważ była bardzo chuda i zabawna, gdyż wciąż gestykulowała, to wszyscy zaczęliśmy się śmiać. Jej to wcale nie przeszkadzało i mówiła bardzo długo. W swoim przemówieniu nie brała pod uwagę, że Polki, które pochodziły ze stolicy Polski – Warszawy, często miały za sobą pracę konspiracyjną i walczyły przez 5 lat z okupantem niemieckim. Niektóre z nich miały wyższe wykształcenie i władały obcymi językami. Wiedziała ona o nich tylko tyle, że ma przed sobą niewolnice, które posłusznie mają wykonywać nakazane im prace. Groziła nam przy tym bez przerwy. Dzieci tych kobiet były bardzo cenne dla Rzeszy, gdyż w przyszłości zastąpią wyeksploatowane matki. Dla nas wszystkich do zamieszkania był parter w wypalonej fabryce, gdzie wstawione były rzędy metalowych łóżek z czystymi kocami. Znajdowała się tam też toaleta. Nie mieliśmy żadnych rzeczy osobistych, tylko jedną teczkę i letnie ubranie na sobie, w którym wyszliśmy z mieszkania. Gdy wieczorem położyliśmy się spać, nie było mowy, żeby się podnieść, ani nawet przekreślić się na bok. Byłem tak zmęczony, że nie byłem nawet w stanie rozmawiać z mamą i natychmiast zasnąłem. Nagle w nocy poczułem, że ktoś mi kroi nogę. Ból był przeszywający, a ja nie mogłem się podnieść ani nawet krzyknąć. Byłem cały sztywny – wtedy noce zaczęły się robić zimne. Po pewnym czasie, gdy okropny ból rozbudził mnie i złapałem się za prawą nogę, spod ręki wyrwał się duży szczur, który mocno wgryzł się już w mój piszczel i zjadł część kości. Do dzisiaj mam ślady po jego pazurach i zębach. Gdy opadłem z powrotem na łóżko i zasnąłem jeszcze mocniej, szczur powrócił i dalej gryzł moją nogę. Kilkakrotnie strzepywałem go ręką z nogi. Wreszcie zacząłem uderzać ręką w mamę, ale ona nie reagowała. Rano przeraziła się, widząc mnie całego we krwi. Całe ręce i twarz miałem we krwi. Ktoś mi założył opatrunek na nogę, a mama zaprała koc w zakrwawionych miejscach. Pamiętam, że dostałem wtedy coś lepszego do jedzenia na śniadanie. Rano pojawili się na naszym podwórku Niemcy, którzy mieli sobie wybrać kobiety do pracy. Niektórzy z nich patrzyli na nas ze współczuciem, gdyż sami mieli żony i dzieci. Byli to ludzie starsi, albo tacy, którzy nie poszli walczyć na front. Mamę od razu złapał za rękę strasznie chudy i wysoki Niemiec. Nawet cieszył się, że będzie miał do pomocy jeszcze dwoje jej dzieci. Ale mama bała się iść do niego. Wyrwała się i podeszła do innego, grubszego, który robił wrażenie dobrego człowieka. Zaczęła się szarpanina, ale mama jak zwykle postawiła na swoim i została zatrudniona u Niemca Heinricha Tuschke w firmie Konservenfabrik, Hannover, Linden Leinaustrasse 9. Miał on żonę i małą córeczkę, a ich dom znajdował się na terenie fabryki. Moja siostra, jako 14-letnia dziewczynka została zatrudniona w prywatnej firmie brata pana Tuschke. Ja mający 12 lat byłem później dorywczo zatrudniony u tego samego człowieka oraz na terenie następnego obozu. Dla grupy dzieci, a było nas czworo – trzech chłopców i jedna 5 letnia dziewczynka, pobyt w tym obozie był na początku dosyć znośny. Kilkakrotnie przechodziliśmy przez mur do ogrodu sąsiada i tam bawiliśmy się, ale kiedyś właściciel nas przegonił. Trzymałem w słoiku małe rybki, które wciąż łapałem przy moście niedaleko obozu. Dopiero pierwszy nalot bombowy przerwał nasze wyprawy. Bomba padła na sąsiedni ogród z małym gospodarstwem, gdzie kobieta trzymała kury. Pochowaliśmy się do znajdującej się w pobliżu aiskieli. Był to wykopany w ziemi duży dół, przykryty dachem i przysypany ziemią. Trzymano tam kiedyś lód i ryby złowione w rzece. Właścicielka tego gospodarstwa doznała szoku. Wybuch zabił kilka kur. Ona biegła i płakała, a my patrzyliśmy na to trochę zdumieni, że po takiej małej bombie ona tak rozpacza. Przyzwyczajeni byliśmy do widoków egzekucji na ulicach Warszawy, zarówno w czasie okupacji niemieckiej, jak i w czasie powstania. A przecież był to dopiero początek nalotów alianckich, a później nadlatywały całe setki ciężkich bombowców, których część rzucała bomby na Hannover, a duża część przelatywała dalej nad Brunshwik i Berlin. Kiedyś po bombardowaniu przyniosłem dużą rybę, ale mama uznała, że jest ona już nieświeża. W pobliżu naszego obozu znajdował się obóz dla polskich mężczyzn. Było nam trochę raźniej, odwiedzaliśmy się nawzajem. Któregoś razu, w niedzielę, mama wystroiła się w nową, kolorową sukienkę i poszliśmy do sąsiadów. Po drodze napotkaliśmy Niemkę, która przyjmowała nas do obozu. Była w mundurze i przeprowadzała widocznie inspekcję. Krzyczała na mamę, że przyjechała tu do roboty, a nie na zabawę, i kazała się jej przebrać. Mama odpowiedziała po polsku, że musi odpocząć, aby lepiej pracować, i poszliśmy dalej. Niemcy odczuwali już skutki straszliwej wojny i nie zachowywali się już tak ważnie jak kiedyś, gdy za każdym razem zwyciężali. Toteż Niemka nic mamie nie odpowiedziała i odeszła. Na ulicach Hannoveru było coraz mniej mieszkańców, a dzieci spotykało się bardzo rzadko. Całe rodziny niemieckie uciekały za miasto, pozostawiając puste mieszkania. Specjalne ekipy wyposażone w ciężarowe samochody jeździły po mieście i zbierały futra na front, być może wschodni, gdzie były mrozy. Byłem świadkiem jak obok naszego obozu w wielopiętrowym budynku chodziła po mieszkaniach umundurowana kobieta i wyciągała z szafy futra, tam gdzie mieszkańcy nie chcieli ich oddać. Następnie podchodziła do okna i wrzucała je na dół. Kierowca zbierał je i wrzucał do pudła samochodu. Zaczął panować już pewien bałagan w mieście. Na ulicach nie było widać umundurowanych policjantów, ani żołnierzy. Wszyscy byli na frontach. W fabryce gdzie przebywaliśmy nie było ogrzewania, brakowało piecyków. Noce były chłodne. Zostaliśmy, więc przeniesieni do innego obozu, na ulicę Badenstedterstrasse 32. Był październik 1944 roku. Obóz otoczony był murem i miał dwie

bramy, jedną małą dla pieszych i drugą szeroką dla transportu. Na terenie obozu znajdowała się kuchnia, kilka długich baraków murowanych, ogólna łaźnia i ubikacja z dużą ilością sedesów. Przy wejściu z prawej strony znajdował się ładny pałacyk, gdzie mieszkał Lagerführer oraz mieścił się gabinet medyczny gdzie przyjmowała lekarka Ukrainka. Dalej było wejście do jednego z dwóch bunkrów betonowych z dwoma wejściami i zakrętami. Obydwa zakopane były w ziemi, a betonowe dachy wystawały nad ziemię. Przy bramie wejściowej stało krzesło, na którym przebywał wartownik – kozak będący na służbie u Niemców. Obok krzesła stał oparty o ścianę karabin. Kozak odzywał się do nas po rosyjsku z dziwnym akcentem. Mówił bardzo mało, a co drugie słowo powtarzał: „Szo take”. W barakach nie było żadnych instalacji wodnych, a wodę do posiłków braliśmy z basenu zakopanego w ziemi. Gdy przybyliśmy, zaraz zjawili się cywilni przedstawiciele miejscowych władz, trzech panów i jedna pani, i poinformowali nas już bardzo grzecznie, jak mamy korzystać z pitnej wody z basenu. Powiedzieli również, który jest nasz barak i jak mamy się chować do bunkrów podczas alarmu lotniczego i bombardowania. Byli elegancko ubrani i szybko opuścili teren obozu. W obozie oprócz nas przebywali inni ludzie, Rosjanie i Ukrainki, które przywieziono tu wcześniej. Jak już się urządziliśmy w baraku to zaczęło się nowe życie. Było nas tam kilkanaście osób w tym czworo dzieci. W innych sztabach też było tyle. Kuchnia znajdowała się w osobnym baraku. Była dobrze wyposażona w duże kotły srebrnego koloru. Obsługiwały ją Ukrainki. Na początku dostawaliśmy zupę z brukwi. Nie smakowała mi, ale była zdrowa. Na śniadanie dwie kromki chleba, porcja margaryny i czasami plasterek wędliny. Podobnie na kolację. Owoców w ogóle nie było. Do moich obowiązków należało sprzątanie przed barakiem i przynoszenie brykietów w kształcie jajka do palenia w wysokim piecyku, który stał na środku sztaby. Spaliśmy we trójkę na dwóch pryzkach górnych. W ziemie, rano skrobałem szron z sufitu znad głowy mamy. Oczywiście zaraz zwiedziłem cały teren obozu, gdzie obok niego był duży plac porośnięty trawą, a z ziemi wystawały fragmenty cegieł, ubrań, papierów itd. Prawdopodobnie był tam też kiedyś obóz, ale został zbombardowany i uprzątnięty. Rządy nad nami sprawował Lagerführer. Przychodził do naszego baraku, co jakiś czas sprawdzić porządek. Rano mama z siostrą wychodzimy do pracy, a ja z resztą dzieci zostawaliśmy w obozie. Zapoznałem się z kozakiem, który siedział przy bramie. Polubił mnie bardzo i wciąż wołał mnie do siebie. Kiedyś w obozie pojawił się mały konik. Chodził sobie po trawniku skubiąc trawę. Kozak mnie zawołał i posadził na koniku. Klepnął konika, a ten podskoczył, wyrzucając mnie w powietrze – spadłem na ziemię. Nic mi się nie stało. Kiedyś zawołał mnie i powiedział, że musi iść do naszej lekarki i postawił karabin przy ścianie, kazał mi usiąść i pilnować obozu. Długo go nie było, a jak wrócił, odbezpieczył karabin i pokazał mi, że w środku nie było naboju. Coraz bardziej cierpiałem na ranę w nodze po ugryzieniu przez szczura. Mama przykładła mi podbiał do ran, ale było coraz gorzej. Poszedłem więc do naszej lekarki Ukrainki, a ona kazała mi przychodzić codziennie o godzinie 12 na odkażanie ran. Poszedłem, a ona przeciągnęła czymś po ranie. Spadłem z krzesła z bólu. Wzięła więc mnie na kolana, objęła ręką za szyję i znowu przeciągnęła. Miała dużo siły, była wysoka i mocno zbudowana. Wyszedłem ledwo żywy. Ale codziennie punktualnie chodziłem na zabiegi. Niestety, to dalej nie pomagało. Mama wciąż przykładła mi podbiał. Leczenie trwało do lata 1945 roku dopóki nie wyzwolili nas Amerykanie. Lekarz wojskowy posmarował mi rany maścią z penicyliną i za dwa tygodnie rany się zagoiły. Powiedział on, że już wdawała się gangrena. Na szczęście w moim wieku rany szybko się goiły.

Wiele przykrych wydarzeń spotkało mnie, siostrę i mamę, jak również inne kobiety i dzieci. Jedna z dziewczynek mająca 3 lata zachorowała i bardzo kasłała. Przed tym bardzo ładnie śpiewała całymi dniami. Widocznie przeziębila sobie gardło. Leżała dłuższy czas i tak płakała, że nie można było spać. Nie wiem, jaką pomoc okazali jej Niemcy, ale pewnej nocy umarła. Leżała nieżywa przez kilka dni w pustej sztabie na stole. Często chodziliśmy ją oglądać. Nie wiem gdzie została pochowana. Za życia była bardzo wesoła. Brała kiedyś udział w następującej zabawie: gdy dostaliśmy po kawałku chleba, wszystkie dzieci chodziły z nim w rękę i trzymały wysoko, coś mówiły i śpiewały. Przechodził akurat Lagerführer, a dzieci w kółko latały. Zaintrygowany, że dzieci nie jedzą chleba, lecz z nim tańczą, postanowił sprawdzić czy ten chleb nie jest spleśniały lub suchy. Podszedł do niej i zapytał się, co robimy. Ona odbiegła od niego i dalej tańczyła z kromką. Wreszcie odebrał jej chleb, sprawdził go i spytał, o co chodzi. Wtedy ona podskakując i śpiewając wymówiła słowo Warszawa i nazwę swojej ulicy. Dzieci skaczące obok wyjaśniły mu, że kromka jest tak cienka, że widać przez nią Warszawę. Roześmiał się i poszedł, ale wrócił i krzyknął do nas „Warschau ist kaputt”.

Podobno kiedy Niemcy uciekali z obozu, a on z nimi, to dzieci krzyczały „Berlin ist kaputt”. Nadchodziła zima, a do pustych baraków zaczęli przyjeżdżać Włosi, widocznie po stracie Mussoliniego. Chodzili oni na pobliski cmentarz z procami i strzelali do wróbla, które potem piekli na ognisku. Jadłem takiego wróbla, był wielkości paznokcia. Pewnego dnia mama powiedziała nam, że zostaliśmy zaproszeni na kolację do jakiejś kobiety, która mówiła po polsku, ale była Niemką. Mieszkała niedaleko od naszego obozu i miała męża oraz syna. Syn walczył aktualnie na froncie wschodnim i był w Wehrmachcie. Wieczorem udaliśmy się do niej. Pokój, w którym nas przyjęła był duży, mieszkanie dosyć bogato wyposażone, a na stole stała porcelanowa miska z wyjątkowo dużymi pyzami ze skwarkami. Kobieta

opowiedziała o swoim synu, który przyjechał niedawno do domu na przepustkę, uzyskaną za wzorową służbę, ale musiał już wrócić na front. Chciała go zatrzymać i gdzieś ukryć, ale on odmówił, mówiąc, że gdyby go złapano to natychmiast zostałby rozstrzelany, a jeżeli nawet udałoby mu się doczekać końca wojny w ukryciu, to cała jego rodzina wywieziona byłaby do obozu koncentracyjnego i tam prawdopodobnie zgładzona. Przebywając w domu, syn opowiadał o swoich przeżyciach na froncie. Wiele ich było, gdyż był to już rok 1944 i jego pobyt w wojsku trwał około 5 lat. Niektóre przeżycia były wprost nieprawdopodobnie wstrząsające. Na przykład, gdy ostatnio okrążyli oddziały rosyjskie i trwało to dosyć długo, a Rosjanie nie mieli już nic do jedzenia, zobaczył przez lornetkę jak złapali oni i przyprowadzili jakiegoś chłopca, którego później zabili, upiekli na ognisku i zjedli. Ale potwierdzone są fakty, że podobne wydarzenia miały miejsce wśród żołnierzy niemieckich. Szczególnie w ostatnim okresie wojny, gdy na rozległych obszarach Rosji, gdzie prawie wszystkie wsie zajęte przez wojska niemieckie zostały spalone, a dowód żywności na front był utrudniony bądź niemożliwy przez działania partyzantów rosyjskich. Miało to szczególne miejsce w ostatniej fazie bitwy o Stalingrad. Oddelegowany z Rzeszy lekarz sporządził specjalny raport, w którym podał szczegóły praktyk stosowanych w gruzach Stalingradu, gdzie otoczeni przez Rosjan Niemcy, nie mogli nawet unieść głowy na powietrze. W międzyczasie przyszedł mąż tej pani, a mama akurat opowiadała o łapanekach i egzekucjach na ulicach Warszawy, w tym o czterech, które odbyły się obok naszego domu, o losie i zgładzeniu kilkuset tysięcy Żydów z getta warszawskiego, gdzie żołnierze niemieccy robili sobie zdjęcia ludzi wyskakujących z balkonów podpalonych domów, a następnie zrównanie całej tej dzielnicy z ziemią. Mama zaczęła opowiadać o strasznych walkach w czasie Powstania Warszawskiego szczególnie w naszej dzielnicy Wola, a przecież jeszcze nie wiedzieliśmy o masowych rozstrzeleniach Polaków przez Niemców i paleniu miasta. Nie wiedzieliśmy, że mąż tej pani był cały czas obok w drugim pokoju i wszystko to słyszał, widząc jak jego żona głośno płacze. Wpadł wściekły do pokoju, a ponieważ był to potężny mężczyzna – wysoki i gruby, baliśmy się, że nas pozabija. Biegał po pokoju i krzyczał. Wyzywał nas od kłamców i bandytów i straszył, że zawiadomi gestapo, żeby nas przenieśli do obozu koncentracyjnego. Według niego to my napadliśmy na Niemców, gdy naród niemiecki tak ciężko walczył o wyzwolenie Europy i że tylko ich oczerniamy. Według niego napad na Niemców w Warszawie w pierwszych dniach sierpnia 1944 zasługuje na słuszną decyzję Hitlera o zrównaniu całego miasta z ziemią oraz zlikwidowanie wszystkich jego mieszkańców. Gdy się bardzo zmęczył, usiadł przy stole i zaczął jeść pyzy, których nawet nie spróbowaliśmy. Po chwili tak głośno pierdnął, że aż wszyscy podskoczyliśmy. Gdy podobne zachowania zaczęły się powtarzać, mama poczuła się obrażona, wstała i chcieliśmy wyjść. Jego żona zaczęła nam tłumaczyć, że mąż jest chory na żołądek i lekarz zalecił mu, żeby nie wstrzymywał gazów. Niemiec nie pozwolił nam jednak wyjść. Uspokoił się już trochę i zaczął mówić o swoim synu, że nie słusnie obrażamy żołnierzy niemieckich, którzy walczą o dobro Niemiec. Mówił, że jego syn został wychowany na porządnego człowieka i tak zachowuje się na froncie, a nasze opowieści świadczą o kłamstwie i naszej podłości. Kazał nam wyjść. Uczyniliśmy to skwapliwie. Zaplanowane przyjęcie przekształciło się w awanturę, a różnice polityczne nie pozwoliły mi nawet na spróbowanie stojących na stole pyz ze skwarkami, a taki byłem wtedy głodny.

Wreszcie kazano mi iść do pracy. Stawilem się na bocznicę kolejowej, gdzie miałem przeładowywać główki kapusty z wagonów na przyczepę samochodową. Stałem na przyczepie, a Niemiec rzucał mi kapustę. Pierwsza rzucona kapusta przewróciła mnie, gdyż była ogromna, 5 razy większa od tej, jaką mama kupowała w domu. Pracowałem tam kilka godzin, wróciłem ledwo żywy do obozu, cały poobijany. Nie miałem siły, byłem chudziutki, a głowy kapusty ważyły po kilka kilo.

Zostałem zatrudniony w fabryce Pana Tuszke przy oporządzaniu i szatkowaniu kapusty. Mama wraz z kilkoma kobietami siedziały przy gumowej taśmie, którą sunęły główki kapusty. Wycinały z nich zbędne liście i głąby, a kapusta jechała do szatkownicy, którą ja obsługiwałem. Kiedyś, gdy przycisnąłem kapustę do wirujących noży, zagapiłem się i noże obcięły mi kawałek palca i paznokcia u prawej ręki. Nie było to groźne i niedługo się zagoiło. Następnie dostałem drugą funkcję przy taśmie. Stałem na desce w korytarzu i popychałem pociętą kapustę, która rynną zjeżdżała na dół do kesonu, w którym dwaj mężczyźni ubijali ją nogami. Za którymś razem drabiny, na których oparta była deska, rozsunęły się i spadłem na twarz. Pan Tuszke wyskoczył z domu, złapał mnie na ręce i zaniósł do mieszkania, był przerażony. Może zatrudniał mnie nielegalnie. Ale nic mi się nie stało.

Byłem tak wychudzony, że niewiele ważyłem i upadek był lekki. Pan Tuszke dał mi trochę marek, za które zjadłem sobie kilka obiadów. Zależało naszej rodzinie, abym był przy mamie, gdyż chodziły plotki, że Niemcy zamierzają odebrać matkom dzieci, aby nie ponosić odpowiedzialności za ich los, kiedy skończy się wojna. Przy okazji mogłem sobie zjeść chociaż głąb od kapusty. Którejś niedzieli, kiedy wszyscy byliśmy w baraku, przybiegła siostra z wiadomością, że przed bramą obozową odbywa się straszna awantura. Z samochodu, który podjechał wyprowadzono kilkudziesięciu mężczyzn Żydów i zaczęto ich prowadzić do obozu. W tym czasie jakaś grupa młodzieży niemieckiej, podobno z Hitlerjugend zaczęła rzucać w nich kamieniami. Nie wychodziliśmy z baraku, słychać było kilka strzałów. Po pewnym czasie zaczęliśmy zaglądać zza naszego baraku, co się tam dzieje. Było już ciemno, w jednym baraku, który stał jeszcze pusty byli ci mężczyźni. Wszystko się uspokoiło. Wieczorem, gdy

patrzyłem na oświetlone szyby tego baraku, widziałem jak około 30-tu mężczyzn szybkim krokiem chodzi od ściany do ściany. Nie wyglądali na robotników, a raczej na inteligentów. Rano wyszedłem posprzątać przed barakiem i widziałem jak podjechał samochód osobowy. Wyszło z niego kilku umundurowanych Niemców i skierowali się do tego baraku. Po chwili wyszedł jeden z przebywających tam mężczyzn i rzucił się na szyję przyjeźdnemu – człowiekowi o wysokiej randze, sądząc po stroju. Dowiedzieliśmy się, że ten, który przyjechał był synem tego, który przebywał w baraku. Staraliśmy się dowiedzieć coś o tym zdarzeniu. Podobno w czasie przejazdu tych kilkudziesięciu mężczyzn dwoma autobusami zdarzył się nalot i bomby trafiły w nich, zabijając wszystkich. Był zakaz rozmawiania o tym wypadku.

Nadeszła zima, wyjątkowo sroga. Strasznie tęskniłem za ojcem. Miałem jego zdjęcie, które stale nosiłem przy sobie. Wychodziłam w nocy do toalety i w świetle księżyca wyjmowałem zdjęcie i przeżywałem to wszystko. Nie dopuszczałem w ogóle myśli, że ojciec nie żyje, że zginął gdzieś w czasie powstania. Myślałem także o babci, która mieszkała na Marymoncie, gdzie często jeździliśmy w niedzielę do lasu nad Wisłą. To wszystko, co do tej pory przeżyłem było straszne. Ale ojciec był dla mnie wszystkim, mimo to, że bardzo krótko mnie trzymał, a jednocześnie dzięki niemu już, jako dziecko uczestniczyłem w walce podziemnej. Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, co to wszystko znaczy.

W międzyczasie mama zmieniła pracę. Zaczęła pracować w Ratuszu (Rathaus). Obierała tam kartofle w piwnicy. Co jakiś czas chodziłem do niej, kiedy wychodziła z pracy i razem wracaliśmy. Było to niedaleko od naszego obozu.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Z tej okazji dostaliśmy lepsze jedzenie i trochę słodczy. Niemcy byli dla nas coraz miłsi. Ale powracała obawa odebrania dzieci matkom. Chodziły też słuchy, że Niemcy mogą nas wszystkich wymordować, aby zatrzeć ślady swoich przestępstw. Nasze matki dowiadywały się o obecności większej liczby dzieci w innych obozach. Cały świat już dowiedział się o tym. Groziła Niemcom za to wielka kara. Najbardziej bali się oni Rosjan, będących w obozie. Kiedyś jeden z Rosjan uratował jakąś kobietę, podobno Polkę, przed napadem Niemca w naszym obozie. Ukrainki też szykowały się na jakiegoś Lagerführera, który kiedyś narobił im dużo krzywdy. Po wojnie byłem świadkiem jak biły go i być może go zabiły. Robiło się coraz groźniej, ale to co miało nastąpić najgorszego jeszcze nie nadeszło. Tym najgorszym miały być potężne bombardowania trwające w dzień i w noc. Na razie naloty były rzadkie. Duże grupy samolotów przelatywały nad nami w drodze na Berlin. Jednej nocy, gdy samoloty alianckie nadleciały krótko po syrenie, mama zerwała się z pryczy i zeskoczyła na dół. Zapomniała, że jest na piętrowym łóżku, więc wygięła sobie przy tym ręce do tyłu i nie mogła nimi ruszać. Nogi też sobie naderwała. Jedna pani w sztabie, znająca język niemiecki poradziła mamie, aby poszła do Lagerführera i poprosiła go o skierowanie do szpitala, gdyż nie jest w stanie pracować. Nauczyła mamę kilku zdań po niemiecku i mama poszła. Przedłożyła mu swój problem, on nawet pomacał bolące miejsca, po czym odszedł kilka kroków, wyjął pistolet i krzyknął: „Ręce do góry!” Mama była zdumiona i przerażona. Zwlekając z wykonaniem rozkazu, ale gdy on odbezpieczył broń, powoli podniosła obie ręce. Następnie kazał jej się odwrócić i szybko przejść na drugi koniec dosyć długiego korytarza. Po czym krzyknął: „Stać, odwrócić się i iść szybko z powrotem”. Mama zawróciła, podeszła do niego i prosiła, żeby dał jej chociaż zwolnienie z pracy na jakiś czas, albo skierowanie do kranksztuby, żeby odpoczęła. Zgodził się na skierowanie do gazsztuby, ale dopiero kiedy nie będzie mogła w ogóle chodzić. Mama mu podziękowała i zadowolona wróciła do sztaby. Gdy opowiedziała kobietom o całej wizycie, to pani, która znała język niemiecki twierdziła z przerażeniem, że on powiedział gazsztuba, a nie kranksztuba. Przerażone kobiety poradziły mamie, żeby zacisnęła zęby i nikomu więcej o tym nie mówiła, gdyż Niemcy są zdolni do wszystkiego.

Wkrótce nastąpiły naloty bombowe na Hannover. Na niebie widać było setki maleńkich punktów oświetlonych przez słońce, z których część oddzielała się do bombardowania nas, a reszta leciała na Brunzwik i na Berlin. Naloty były potworne. Wrzucano wtedy bomby półtonowe oraz luftminy. Zbombardowano dworzec kolejowy niedaleko od naszego obozu. Gdy okazało się później ogłoszenie, że za pracę przy jego odgruzowywaniu dostanie się bochenek chleba, poszedłem tam i usuwałem gruzy przez cały dzień. Nadzorujący prace Niemiec nie chciał mi jednak dać chleba. Uparłem się i nie chciałem odejść. Przechodzący ludzie ujęli się za mną i dostałem chleb.

Po zakończeniu jednego z nalotów, wyszliśmy wszyscy z bunkra, a tu nagle nad nasz obóz nadleciał potężny samolot amerykański o prostokątnych kształtach. Widzieliśmy stojących i pochylonych do przodu lotników, było ich kilku. Patrzyli z uwagą w dół. Widocznie szukali miejsca do wylądowania, gdyż samolot był zestrzelony. Lecieli w kierunku znajdującego się niedaleko lotniska. Nie wiemy, co było dalej. Na początku bombardowań, gdy syreny wyły na voralarm to mieliśmy czas zejść do bunkra, ale później wyły tylko syreny na fligealarm. Zawsze, gdy wyły, czekałem na babcię Zieję, która miała kilkuletnią wnuczkę i nie zdążyła z dojściem do bunkra. Odprawiałem je dosyć powoli tak, że często obok nas pluskały w ziemię odłamki z flaków, to jest z niemieckiej artylerii przeciwlotniczej, której działa stały w pobliżu obozu. Wreszcie nadszedł dzień, gdy dwie bomby spadły na nasz obóz. Jedna trafiła w wejście do naszego bunkra, gdzie byłem ja z mamą, gdyż siostra uciekła do drugiego bunkra. Druga spadła na budynek, gdzie znajdowała się kuchnia. Posypały się też na nasze baraki fosforówki zapalające. Gdy

bomba uderzyła w nasz bunkier, pękł on na pół i nad naszymi głowami ukazało się słońce. Zaczęło się później gaszenie ognia w barakach oraz wyciąganie z błota mężczyzn, którzy byli przy wejściu. Jednym był Lagerführer, a drugim Rosjanin. Rosjanin jeszcze się ruszał, ale miał usta tak wypełnione błotem, że wkładano mu rękę do gardła bardzo głęboko, żeby je wyjąć. Obydwoj umarli. Mamie, mnie i siostrze nic się nie stało. Od jednej bomby powstało dosyć głębokie jeziorko.

Zaczął się dla nas najgorszy okres pobytu w obozie. Nie było kuchni, ale Niemcy dawali nam coś do jedzenia. Mama i siostra chodziły nadal do pracy, a ja błąkałem się po okolicznych gruzach w poszukiwaniu jedzenia. Pewnego razu znalazłam obierki z kartofli, zjadłem je, a przez następne dni leżałem chory. Złitowały się nade mną Ukrainki i jedna z nich, która na gruzach kuchni gotowała na ognisku na ceglach kisiel w puszcze, z mąki kartoflanej, nakarmiła mnie. To pomogło mi wyzdrowieć i codziennie chodziłem do jej baraku, a ona bardzo się mną zajmowała. Pewnego dnia, gdy wróciła z pracy, zawołała mnie i ugotowała dużą puszkę kisielu. Wzięła mnie na kolana i karmiła. To zobaczyła mama wracająca z pracy i była chyba strasznie zazdrosna, bo ze złością zabrała mnie do baraku i zabroniła chodzić do Ukrainek. Miało to pewne uzasadnienie, gdyż zaraz po wojnie błąkały się dzieci, które były w obozach bez rodziców i czasami przypadkowi opiekunowie zabierali ze sobą te dzieci. Może w Ukraince odezwał się instynkt macierzyński i mogła mieć nawet zamiar przywłaszczyć sobie jakieś obce dziecko.

Moja siostra pracowała w dzielnicy, gdzie znajdowały się duże fabryki. W czasie jednego z nalotów dwie fabryki, zdaje się chemiczne, zostały doszczętnie zburzone, a siostra wraz z okoliczną ludnością uciekła na jakąś ulicę, gdzie wszystkich przysypało. Wróciła w strasznym stanie, miała porwane całe ubranie, ale przeżyła. Kilkakrotnie chodziłem do ratusza do pracy mamy, chociaż mi tego zabraniała, gdyż bez przerwy odbywały się naloty i bombardowania. Front powoli zbliżał się do nas. Pewnego dnia, gdy było spokojniej, poszedłem do mamy, gdyż w naszym obozie był straszny bałagan – pełno błota i brak kuchni. Czasami Lagerführer latał po barakach i szukał jakiejś kobiety. Krzyczał i wołał nazwisko Gertruda. Okazało się, że w obozie było kilku Lagerführerów. Oprócz tego, co zginął w bunkrze był ten dotychczasowy i jakiś z poprzednich funkcjonariuszy, którego po wyzwoleniu złapano i być może zabito. Gdy szedłem do ratusza rozpoczął się nalot. Byłem już blisko wejścia, gdy zobaczyłem w pobliżu może siedmioletniego chłopca. Zawołałem, żeby się schował do gmachu. Wołałem po niemiecku: „Kommen” i on zaczął biec do mnie. Bomby już padały w pobliżu, on stanął. Wtedy począłem wołać po polsku. Gdy to usłyszał zaczął uciekać w drugą stronę. Widocznie się mnie przestraszył. Pobiegłem z nim i złapałem go za rękę. Biegliśmy do ratusza. Za wejściem głównym nikogo nie było, wszyscy schowali się głęboko do piwnicy. Siedziały tam same przestraszone starszuszki. Kazałem chłopcu tam iść. Później zastanawiałem się skąd wzięło się tam dziecko niemieckie skoro na ulicach nie było już prawie dzieci a ten chłopiec był sam. Prawdopodobnie mieszkał gdzieś w pobliżu, wyszedł na spacer i zastał go alarm. Ratusz się cały trząsł, tynk sypał się dookoła. Po nalocie odnalazłem mamę i wyszliśmy na zewnątrz. Dookoła leżało pełno cegieł. Piękna wieża i kopuła nad dachem była rozbita, a dach cały potrzaskany. Gdy wraz z mamą poszliśmy w miejsce jej pracy wszystko było poprzewracane i kazano nam to posprzątać. Po sprzątaniu wracaliśmy do obozu wśród ulic pełnych gruzów. Było podobnie jak u nas w Warszawie w 1939 roku. Specjalne ekipy wyciągały ludzi spod gruzów. Mieli długie szufle, którymi sięgali głęboko w głąb ruin. Wielkim niebezpieczeństwem było chodzenie po chodnikach i ulicach. Wokół leżały rurki bombki z fosforem, który rozlewał się i zapalał wszystko, co napotkał. Można było trafić na nie butem, który zaraz płonął.

Pewnego dnia odwiedził nasz obóz delegat PCK. Przyjechał w ciągu dnia, gdy nasze matki były w pracy. Lagerführer kazał dzieciom ubrać się jak najlepiej i ustawić w szeregu. Delegat PCK wraz z dwoma Niemcami stanęli w pewnej odległości od nas i coś mówili, ale nie mogliśmy ich usłyszeć ani zrozumieć. Stwierdziłem po wojnie, że tym delegatem był dr Paul Wyss, który był w obozie w Pruszkowie. Poznałem go na zdjęciu w książce Edwarda Kołodziejczyka – „Tryptyk Warszawski – Wypędzenie Dulag 121 – tułaczka”. Można z tego wywnioskować, że zajmował się on losami Polaków przywożonych z Polski na terytorium Rzeszy, a w szczególności tych, którzy byli wypędzeni z Warszawy w czasie powstania. Z tego spotkania nic nie wynikło, a on zaraz odjechał. Po pewnym czasie, gdy w obozie nie było już władzy niemieckiej, a wokół leżało pełno gruzów, nastąpiła cisza. Wszyscy schowaliśmy się do bunkrów i czekaliśmy na dalsze wydarzenia. Spora ilość ludzi była bardzo wyczerpana i siedziała pod ścianami. Kilku Rosjan postanowiło wyjść na ulicę, zobaczyć co tam się dzieje. Po powrocie oznajmili, że cały Hannover jest pusty, a ze wszystkich okien zwisają białe prześcieradła. Nadal było cicho. W pewnej chwili dał się słyszeć szum na ulicy. Patrzymy, a brama wjazdowa trzeszczy, wreszcie pękła i otworzyła się. Ukazała się długa rura, a za nią olbrzymi czołg. Wjechał on do obozu, stanął, a po chwili wyszło z niego kilku żołnierzy murzynów. Na czołgu była duża biała gwiazda. Poznaliśmy, że są to amerykańscy żołnierze. Zaczęliśmy wychodzić z bunkra. Nie wszyscy byli w stanie, część ludzi była bardzo osłabiona. Czołg cofnął się na ulicę skąd dochodziły strzały. Za naszym murem, na ulicy, stał cały rząd czołgów. Żołnierze amerykańscy weszli do obozu i powiedzieli, że strzelają do nich. Okazało się, że przez ulicę przebiegła grupa młodzieży z Hitlerjugend i cała kolumna czołgów zatrzymała się. Poza kilkoma wystrzałami nie było żadnej walki i czołgi pojechały dalej. Okazało się, że Hannover poddał się bez walki.

Zapanowała nieopisana radość. Za chwilę przyjechał samochód sanitarny i Amerykanie zaczęli wybierać spośród nas tych chorych, którzy ledwo chodzili. Pod murem naszego baraku poustawiano różne krzesła i skrzynki, gdzie usiedli ciężiej chorzy ludzie. Przyjechał drugi samochód i żołnierz amerykański podawał nam pudła z witaminami i czekoladą. Człogi pojechały dalej, a na części naszego obozu rozkładano na ziemi koce i inne materiały, a na leżakach leżeli ciężiej chorzy, którzy przybyli też z ulicy z innego obozu. Amerykański lekarz badał ich, niektórym przetaczano krew, zrobiono inne zabiegi. My dzieci objadaliśmy się witaminami. W niedługim czasie pojawiło się jedzenie, przyniesione z okolicznych sklepów. Część dorosłych poszła do jakichś magazynów żywnościowych i przyniosła boczek, szynki i inne.

W dalszym ciągu krążyły nad nami myśliwskie samoloty niemieckie i amerykańskie i bez przerwy strzelały seriami, ale nie widziałem żeby któryś z nich spadł. Wśród chorych leżących na leżakach zdarzył się śmiertelny wypadek. Wbrew uwagom lekarza, żeby ludziom wycieńczonym i leżącym nie dawać jedzenia, a jedynie podłączać kroplówki, dawano im całe kawały boczku i kiełbasy. Chorzy to połknęli i widać było przez cieniutką skórę jak pokarm przechodzi do żołądka. Następnie zaczęli się trząść i po pewnym czasie umierali.

Pomału zbliżał się wieczór, wszyscy byli bardzo zmęczeni, ale ktoś powiedział, że grupa Niemców zamierza wymordować ludzi z okolicznych obozów w tym i z naszego. Znalazł się Amerykanin polskiego pochodzenia, który służył w armii amerykańskiej. Miał tomphsona oraz olbrzymiego colta i zadeklarował się, że będzie z nami nocował i bronił w razie napadów niemieckich. Zrobiono mu posłanie pod ścianą baraku i tam sobie siedział. Jeszcze słyhać było wybuchy w niedalekiej odległości, ale już byliśmy wyzwoleni.

Był kwiecień 1945. Nie mieliśmy żadnych wiadomości o losie ojca i babci, z którymi rozstaliśmy się w sierpniu 1944 roku w Warszawie w czasie powstania. Jeśli przeżyli to krwawe powstanie, to gdzie teraz są? Jeśli nie przeżyli, to czy w ogóle i gdzie znajdują się ich groby? W maju 1945 roku w dniu zakończenia II wojny światowej urządziliśmy w obozie uroczystość z udziałem naszych żołnierzy z okolicznych łagrów. Co kto miał do jedzenia to przyniósł. Nie miałem swojego towarzystwa, gdyż dzieci poszły już spać. Poszedłem więc do wejścia zbombardowanego bunkra. Tam znalazłem przysypaną skrzynkę, w której leżały butelki z winem. Kolejno zanosilem je do sztuby gdzie odbywało się przyjęcie. Zrobiło się przyjemniej i weselej. Z dniem tym znowu rodzina nasza wkracza w nowy okres jej dziejów.

## **Powrót z Niemiec do Warszawy**

Rozpoczął się dla nas nowy etap życia. Nie mieliśmy domu ani pełnej rodziny. Nie chodziliśmy dotąd do szkoły. Wojna jeszcze trwała. Zaczęliśmy odwiedzać inne obozy z Polakami. Część Polaków mieszkała na stadionie niedaleko od nas. Żywność organizowali mężczyźni z innych obozów, a ponieważ była wiosna i zaczynało się lato nie było problemów z ogrzewaniem. Przenieśliśmy się do ogródków działkowych, gdzie było dużo drzew owocowych. Zdobyłem jakiś stary rower i jeździłem po okolicy. Któregoś dnia złożyła nam wizytę rodzina niemiecka – właściciele działki. Byli to rodzice i dwóch synów prawie w moim wieku. Byli elegancko ubrani i w ogóle nie było widać na nich żadnych śladów po działaniach wojennych. Minęło lato zaczęła rządzić jesień, przeniesiono nas do fabryki na Empelde, zorganizowano szkołę i aprowizację.

Po tych wszystkich przejściach mama rozchorowała się i pogotowie ratunkowe zawiozło ją do szpitala. Jeździliśmy do mamy tramwajem. Gdy się lepiej poczuła i wróciła do nas, to znowu ja byłem tak słaby, że mnie też zabralo pogotowie do tego samego szpitala – sanatorium. Opiekę tam miałem dobrą, gdyż personel niemiecki wiedział, że to oni doprowadzili nas do takiego stanu. Po jakimś czasie powróciłem na Empelde. Dla nas dzieci były to nowe przeżycia. Fabryka nie była zniszczona w czasie działań wojennych. Było tam jezioro przykryte siatką metalową, która maskowała teren przed samolotami. Był komin, wokół którego na pewnej wysokości przymocowany był okrągły taras, na którym rosły kwiaty. Jezioro służyło do jakichś prac z fosforem. Było tam kilka tajemniczych wejść pod ziemią. Mój kolega wszedł kiedyś do takiego bunkra i wybuch miny urwał mu nogę. Po tym wypadku jak mu się rana goiła to tylko siedział i grał na harmonii. My spaliliśmy w jednym z pokojów biurowych na pierwszym piętrze przy bramie fabryki. Wejścia do piwnic były zawałone belkami, a w nocy wchodzili tam Niemcy. Mówili nam, że wejścia do piwnicy też są zaminowane, żeby tam nie wchodzić. Obok nas były nieduże hale, gdzie produkowano do tej pory amunicję. Stały bębny, które kręcąc się sypały proch do łusek karabinowych. Było tam też sporo fosforu. Pod koniec lata otrzymaliśmy z amerykańskiego Czerwonego Krzyża biuletyny ze spisem osób poszukujących i poszukiwanych. Dotyczyły one Polaków. Znajdowało się tam nazwisko naszego ojca, który nas poszukiwał. Nawiązaliśmy kontakt z ojcem i w niedługim czasie przyjechał do nas. Był w długim płaszczu wojskowym, ale niewiele się zmienił, chociaż dużo przeżył. Opowiedział nam swoje losy, a my swoje. Przed przyjazdem do nas ojciec wysłał umundurowaną łączniczkę ze swojego oddziału, aby nawiązała z nami łączność i zorganizowała nasz przyjazd do oflagu w miejscowości Murnau am Staffelsee na południe od Monachium w Bawarii. Ta łączniczka była moja

siostrą cioteczną. Najpierw pojechała ona z siostrą i mamą, a zaraz po nich ja pojechałem z ojcem. Podróż koleją była długa i ciężka gdyż tłumy ludzi przemieszczały się ze zbombardowanych miast, które mijaliśmy. Wreszcie dojechaliśmy do Monachium. Mieliśmy jedną walizkę z dyktą, którą w obozie zrobił Rosjanin. Mama kupiła ją od niego. Na szosie spotkaliśmy samochód ciężarowy, w którym jechali polscy żołnierze akurat do Murnau. Gdy przyjechaliśmy na teren oflagu, ojciec kazał na ciebie czekać, a sam poszedł szukać mamy i siostry. Zrobiło się szaro, nadciągnęły potężne czarne chmury. Zaczęłam się bać, że za chwile lunie okropny deszcz. Gdy wreszcie ojciec wrócił po mnie, powiedziałam mu żebyśmy się gdzieś szybko schowali. Roześmiał się i powiedział, że to nie są chmury tylko góry – Alpy Bawarskie.

Byłem zdumiony, gdyż pierwszy raz znajdowałem się w górach i to tak potężnych. Zamieszkaliśmy w pięknej willi na osiedlu, gdzie w czasie wojny stacjonowały wojska niemieckie, a tu właśnie mieszkał jakiś generał. Przyszła uśmiechnięta Niemka i przymilając się zaoferowała swoje usługi przy sprzątaniu naszych pokoi. Mama z odrazą wyprosiła ją. Po tych wszystkich strasznych doznanych cierpieniach nie mogliśmy w ogóle słuchać języka niemieckiego.

Rano, kiedy wyszedłem przed dom, roztoczyła się przede mną piękna kraina pełna gór i drzew. Na podwórku stał czołg niemiecki. Wzdłuż szosy, która przebiegała w pobliżu. W rowach leżał jeszcze amerykański sprzęt wojskowy, a sama miejscowość miała swój piękny bawarski urok. Czekają na mnie tu wiele ciekawych przeżyć i może bym na jakiś czas zapomniał o okropnościach, jakie mnie spotkały. Jednak pojawienie się w naszym domu, jak i na ulicach miasteczka polskich żołnierzy, którzy mieszkali w tak zwanych dolnych koszarach oraz ich opowiadania o 5-letnich przeżyciach wojennych znowu przypomniły nam wojnę. Mieszkaliśmy w Górnych Koszarach, dwa kilometry niżej, przy tej samej szosie były Dolne Koszary, gdzie od czasu kapitulacji Polski pod koniec 1939 roku przebywali oficerowie polscy i generałowie. Byli to generałowie dywizji, między innymi: Władysław Bortnowski, Tadeusz Kutrzeba, Juliusz Rómmel. Byłem tam kilkukrotnie z ojcem i z naszą drużyną harcerską i słuchaliśmy opowiadanych przez nich przeżyć, a oni naszych. Powstał tam Związek Harcerstwa Polskiego w Niemczech, do którego należałem i mam jeszcze legitymację. Nasłuchałem się tylu opowieści ojca i tych żołnierzy, że mógłbym napisać grubą książkę. Dodatkowym powodem smutku przy opowiadaniach był fakt istnienia w pobliżu obozu koncentracyjnego Dachau, gdzie też znajdowali się Polacy, w tym księża, na których niemieccy lekarze przeprowadzali eksperymenty medyczne.

Dla mnie największą atrakcją było znajdujące się w pobliżu jezioro Staffelsee. Były na nim wysepki. Chociaż znajdujące się tutaj oflagi były miejscem przetrzymywania żołnierzy, jednak znalazłem tu też sporą grupę dzieci w moim wieku. Zarówno chłopców jak i dziewczynki. Chodziliśmy do pierwszej klasy gimnazjum, do Oberschulemadchen, gdzie chodziły też dzieci niemieckie. Osamotniony byłem tylko przy czynnościach związanych ze służeniem do mszy w jednym z dwóch kościołów, jakie się tu znajdowały. Jeden, ten duży przy głównej ulicy, a drugi w kształcie kapliczki był z boku, za budynkami. Mszę odprawiał ksiądz w randze kapitana, a całość nadzorowała siostra zakonna Niemka. Jako jedyny z dzieci znałem ministranturę i szybko nauczyłem się grać na pedałowej fisharmonii. Ponieważ jeszcze w domu uczyłem się gry na skrzypcach to szybko opanowałem grę na tym instrumencie. Głównie melodii żołnierskich i narodowych. Rano o godzinie siódmej odprawialiśmy mszę, a wieczorem nieszpory. W międzyczasie chodziłem do szkoły i na obiad. Bardzo specyficzne bywały spotkania przedwojennych żołnierzy wyższej szarży, którzy przeżyli tylko krótki okres walk na froncie, a naszymi chłopcami, a szczególnie dziewczynami z powstania warszawskiego. Niektóre sceny spotkań tych dwóch pokoleń były wręcz humorystyczne. Gdy szedł pan kapitan, a mijala go sanitariuszka z powstania, to zatrzymywał ją i kazał sobie zaszalutować. Zwracał jej uwagę na niewłaściwe zachowanie wobec wyższego rangą. Zwykle zaczynała się dyskusja, kto jest ważniejszy, kto więcej walczył i jakie powinien oddawać honory wyższemu stopniem. Padało pytanie: „A za co otrzymywała pani stopień, na przykład kaprala?” Ona odpowiadała na to, że walczyła przy zdobywaniu lotniska, ale nie udało się go zdobyć. Na to on odparł, że jak tacy żołnierze jak ona walczyli, to nic dziwnego że przegraliśmy to powstanie. „Gdybym ja tam był, rzuciłbym na Niemców szwadron kawalerii (a był on kawalerzystą) i rozniósł ich”. Ona na to, że Niemcy mieli tyle karabinów maszynowych, że by ich wszystkich skosili tak jak nas. W oflagu był teatrzyk, z którego mam kilka zdjęć. Odbywały się tam koncerty i przedstawienia. Ja też kiedyś odegrałem pewną rolę na scenie, chociaż nie występowałem. Mianowicie, kiedy przechodziłem obok stojącego pomnika, przedstawiającego popiersie jakiegoś znanego Niemca. Był on postawiony na górcie. Zauważyłem, że z ziemi wystaje jakiś przedmiot. Wykopałem go, była to rakietnica bojowa dużych rozmiarów. Oddałem ją ojcu, a on postarał się o naboje do niej. W międzyczasie grano sztukę żołnierską pod tytułem „Gałązka rozmarynu”. Treścią sztuki była walka naszych żołnierzy w okopach, gdzie rósł rozmaryn. Celem stworzenia frontowej atmosfery, ojciec zaproponował oddanie kilku wystrzałów z tej rakietnicy. Gdy w odpowiednim momencie nacisnął na spust, rozległ się potężny huk, a z lufy poszybowała aż do sufitu biała rakietka, która odbiła się od sufitu i spadła. Widzowie zaczęli uciekać, gdyż było pełno dymu. Ojciec otrzymał od dowództwa solidną reprimendę, a żołnierze składali ojcu słowa pochwały za ten wyczyn, gdyż dzięki tej rakiecie przedstawienie ukazało prawdziwą walkę na froncie. Wtedy kilka osób opatrzonych zostało przez sanitariuszy. W Dolnych Koszarach nasi żołnierze zbudowali podziemny tunel, którym zamierzali

zorganizować ucieczkę. Aczkolwiek była umowa polskiego dowództwa z dowódcą obozu, Niemcem, że nie będzie prób ucieczki, ale przez te kilka lat trzeba było dać żołnierzom zajęcie. Faktycznie nikt nie skorzystał z tunelu. Dopiero po wojnie ujawniono to przedsięwzięcie.

Największą przygodę życia miałem wtedy, gdy związane to było z jeziorem Staffelsee. Pewnego dnia rano wziąłem wędkę i wiadro oraz pudełko robaków z zamiarem łowienia ryb w tym jeziorze. Był pogodny ranek, droga miała długość kilku kilometrów i wiodła przez niski zagajnik sosnowy. Co prawda rodzice zakazali mi chodzić samemu tak daleko lasem, ale ryby były ważniejsze. Szedłem wąską dróżką wśród lasu, gdzie było cicho i spokojnie. W pewnym momencie coś za mną się jakby poruszyło. Obejrzałem się, ale nikogo tam nie było. Za chwilę ktoś z tyłu kopnął mnie w nogę, złapał za pierś i przewrócił. Nie zdążyłem przystąpić do obrony, gdy narzucono coś na mnie, przewrócono plecami do ziemi i zrobiło się ciemno.

Znajdowałem się w jakimś worku i byłem niesiony, i od czasu do czasu worek zahaczał o jakieś korzenie w lesie. Byłem przerażony, myślałem, że zostałem porwany przez Hitlerjugend, która to organizacja jeszcze się pokazywała. Zaczęłem się dusić, worek był szczelnie zamknięty. Wydawało mi się, że idziemy w odwrotnym kierunku niż do jeziora. Zaczęłam krzyczeć, ale plandeka, w którą mnie złapano była gruba i twarda. Im dłużej trwał ten marsz tym bardziej zacząłem myśleć, co to może znaczyć. Może mnie zamordują i gdzieś zakopią. Wreszcie poczułem kilkukrotne uderzenie w plecy, tak jakbym był transportowany do góry po schodach. Nagle stanęliśmy i wór został otwarty, a mnie postawiono na nogi. Znalazłem się w dużym pokoju, a obok mnie stało trzech mężczyzn, czwarty w mundurze wojskowym siedział na długiej ławie pod ścianą. Na środku stał solidny stół, przy którym posadzono mnie na krześle. Wiadro i wędka stały obok stołu. Po chwili ci trzej mężczyźni wyszli z pomieszczenia, a ten w mundurze pozostał ze mną. Po chwili siedzenia odezwałem się do niego po polsku, lecz on nie odpowiedział. Próbowałem mówić po niemiecku, potem po angielsku, on w ogóle nie reagował. Robił wrażenie śpiącego. Gdy próbowałem wstać, podniósł rękę i gestem kazał mi usiąść. Taka sytuacja trwała dosyć długo. Wreszcie otworzyły się drzwi i wszedł żołnierz w mundurze armii amerykańskiej z olbrzymią tacą, na której było dosyć dużo jedzenia i to dobrego. Zaczęłam jeść, zachciało mi się spać. Siedziałem tak dosyć długo. Żołnierz siedział ze mną, tak jakby mnie pilnował. Dało się wyczuć, że na coś czekał. Wreszcie przyszedł mężczyzna w cywilnym ubraniu i po niemiecku zaczął na mnie krzyczeć. Nie miałem tego znieść, żeby Niemiec jeszcze teraz na mnie krzyczał. Zaczęłam i ja krzyczeć na niego kilkoma znanymi słowami w rodzaju „Ruhe”. Wtedy on wyszedł. Znowu długo siedziałem, aż przyszedł następny, też w cywilnym ubraniu i zaczął do mnie mówić po angielsku. Tłumaczyłem mu w kółko, że jestem Polakiem. Bez przerwy wymawiałem słowo Warszawa i Polska. Wreszcie wyszedł zdziwiony i zaskoczony moją osobą, jako dzieckiem. Wreszcie przyszedł oficer w polskim mundurze i dopiero sobie porozmawialiśmy. Podałem mu nasz adres, nazwisko i stopień wojskowy ojca. Przyrzekł, że niedługo przyjdzie do mnie z ojcem. Znowu długo siedziałem przy stole, jeszcze trochę jadłem, aż wreszcie przyszedł ojciec wraz z oficerem. Zdumiony moją obecnością w budynku wojsk amerykańskich, ojciec krzyczał na mnie, że znowu sam wychodzę z domu, że mama jest strasznie zmartwiona. W międzyczasie do pokoju weszło kilku żołnierzów amerykańskich. Wyglądali jak komandosi i poinformowali ojca, że zostaną przetransportowani do Waszyngtonu celem dalszych przesłuchań w pewnej sprawie, gdyż całość przesłuchań w tej ważnej sprawie ma zostać wyjaśniona i zakończona właśnie w USA. Na te słowa ojciec rzucił się na mnie, złapał za ręce, ale Amerykanie go oderwali i wyprowadzili innymi drzwiami. Mnie przeprowadzili do drugiego pokoju, gdzie pod oknem siedział starszy wiekiem i szarą Amerykanin. Dał znak ręką i ten z tyłu złapał mnie pod pachy i podniósł go góry, a tamten z przodu ściągnął mi spodnie, tak że stałem prawie goły. Następnie kazali mi zdjąć buty i dokładnie mnie obmacali. Wreszcie kazali się ubrać. Oglądali również moje wiaderko i wędkę, a następnie wyprowadzili mnie z tego pokoju i dalej z budynku. Na dworze stał ojciec i kłócił się z amerykańskimi żołnierzami. Podszedłem do ojca i pozwolono nam iść do koszar.

Wypadek ten był szeroko komentowany w koszarach w gronie polskich żołnierzy i okazało się, że krążyły pogłoski, że jezioro Staffelsee podobno kryje w swoich głębinach i na wysepkach olbrzymie skarby w postaci złota, brylantów, diamentów i innych cennych przedmiotów. Zostały one zatopione przez Niemców w latach 1944-1945, kiedy zbliżał się upadek III Rzeszy. Amerykanie zauważyli, że ktoś penetruje jezioro, być może w celu odnalezienia zatopionych skarbów. Mam zdjęcia wysepek, na których podobno były wejścia do znajdujących się w głębinach betonowych bunkrów. Mam również zdjęcie z wielkiej parady wojsk amerykańskich w Bawarii. Jedno ze zboczy gór nad jeziorem zostało ścięte, a żwir z niego posłużył do budowy tych podziemnych schronów. To zbocze widać było od naszej strony jeziora. Chodziły również plotki, że pod dnem jeziora były fabryki do montażu samolotów, które wzbijały się w powietrze z otwieranych na wyspach klap. Różne niepotwierdzone fantastyczne plotki poruszały umysły naszych żołnierzy, którzy tam w tych czasach byli.

Ponieważ Amerykanie zauważyli podejrzany ruch ludzi, między innymi na szlaku jezioro Staffelsee – Murnau. Zorganizowali tam zasadzki, których ofiarą padłem ja. Było to podobno w stylu Texasu, gdzie tak łapano przestępców, przy użyciu worków. Zakładano, że do pewnych działań wywiadowczych



angażowano dzieci, zresztą podobnie jak działo się to w Warszawie wobec okupanta, czego najlepszym przykładem byłem ja. Ponieważ odkryto szlaki przemytu pewnych wiadomości, późniejsze władze Bawarii zabroniły penetracji jezior. Podobno widziano dym wydobywający się z dna jeziora, co mogło świadczyć o istnieniu tam jakichś fabryk. Nigdy nie dowiedzieliśmy się ile było w tym prawdy. Był okres, gdy zaostrzyły się stosunki międzynarodowe pomiędzy ZSRR i Stanami Zjednoczonymi. Wtedy to powołano pod broń naszych ojców. Przez pewien okres czasu ojca nie było w koszarach. Ale to wszystko minęło i coraz częściej mówiło się o konieczności opuszczenia przez żołnierzy polskich, zajmowanych dotychczas domów niemieckich. Z pożegnalną wizytą przyjechał do Murnau generał Anders z żoną. Przywiózł olbrzymią, kilkumetrową rybę, chyba złowioną w oceanie. Wszystkie dzieci prosiły, żeby jej nie smażyć. To nie pomogło i ryba została zjedzona w czasie pożegnalnego wieczoru. Generał Anders grał ładnie na skrzypcach, a jego żona ślicznie śpiewała. Żegnał się generał z żołnierzami polskimi, którzy w pewnej części nie mogli wrócić do kraju ze względu na polityczny system panujący w Polsce.

Część młodzieży miała pojechać do Londynu, część do Włoch, a spora grupa żołnierzy, częściowo z odnalezionymi rodzinami, miała wyjechać aż do Brazylii. W tym czasie amerykański Czerwony Krzyż ogłosił spis ludności polskiej, która przeżyła wojnę i poszukiwała swoich rodzin. Okazało się, że nasza babcia, matka ojca przeżyła powstanie w Warszawie i poszukuje nas. Ojciec oszalał z radości i zwrócił się do swojego kapitana, że nie jedziemy do Brazylii, gdzie byliśmy już zapisani, lecz wracamy do Warszawy. Odradzano nam to bardzo ze względu na złe traktowanie tam szczególnie żołnierzy z Armii Krajowej za wywołanie powstania. Ojca to nie przekonywało. Mówił wszystkim, że tam jest jego matka i nasz dom. Ojciec zameldował się u generała Andersa, celem pożegnania się. Ciężko było dostać się do generała, ale jakoś się udało. Odradzał nam powrót do kraju. Radził, żeby poczekał aż się coś zmieni w kraju na lepsze. W pożegnalnym przemówieniu do żołnierzy generał ze łzami w oczach mówił, że jak trzeba było walczyć i wygrać wojnę, to Polacy nie żalowali krwi, a teraz, gdy już nie jesteśmy potrzebni nikomu, to musimy tułać się po całym świecie.

Wsiadliśmy w pociąg i pojechaliśmy do Pragi czeskiej, a potem przez punkt przyjęcia w Międzyzlesiu – Państwowy Urząd Repatriacyjny. W dniu 11 maja 1946 roku znaleźliśmy się z powrotem w Polsce. Jechaliśmy dalej do Wrocławia. Po drodze ograbiali nas z kosztowności ludzie, którzy straszili, że we Wrocławiu Rosjanie będą nam odbierać wszystko, co im się spodoba. Ludzie oddawali kosztowności, myśląc, że oddają je na przechowanie i potem będą mogli je odebrać. Zauważyłem, że wszędzie gdzie jechali biedni ludzie z obozów do kraju, grasowali złodzieje.

Dojeżdżamy do mostu na Odrze. Most jest jeszcze chyba niewyremontowany, bo buja się na wszystkie strony. Na dole na trawie siedzą tysiące rosyjskich żołnierzy w swych szarych mundurach, machają czapkami, witają nas okrzykami. Nikt na nas nie napada, jak straszili nas złodzieje. Pociąg nie zatrzymuje się, jedziemy dalej do Warszawy. Po drodze część ludzi wysiada. Dojeżdżamy do dworca, wysiadamy, morze gruzów. Warszawy już nie ma. Na schodach na dworcu mijają nas kolejarz. My stoimy, bo nie mamy gdzie i czym jechać. Wszyscy jesteśmy w mundurach wojskowych, nawet ja z siostrą.

Wszystkie ubrania, które mieliśmy na sobie w czasie powstania już się podarły. Przyłącza się do nas wojskowy – oficer, z rodziną, też w mundurze. Przechodzący kolejarz patrzy na nas, na znaki „Poland” na rękawach i prosi, żebyśmy poszli dalej, gdyż może nas spotkać przykrość, jak Milicja Obywatelska to zobaczy. Panowie odchodzą po jakieś samochody, a my czekamy. Wreszcie zajeżdża samochód i wiezie nas na ulicę Hożą, gdzie znajduje się punkt PCK.

Na podwórzu siedzą i stoją matki z małymi dziećmi, które przyjechały z tułaczki i zastały swoje domy spalone. Patrzymy po drodze, a tu cała Warszawa w gruzach. Co z naszym domem? W pierwszych dniach powstania działy się tu najstraszliwsze wydarzenia. Niemcy wszystkich rozstrzelali i palili domy. Wreszcie ojciec wraca od babci z Żoliborza i ma nas tam zabrać. Pobyt w Polskim Czerwonym Krzyżu zrobił na nas wstrząsające wrażenie. Jedziemy przez spalone miasto. Ulice są już trochę uprzątnięte, ale wszystkie mosty Niemcy wysadzili w powietrze 13 września 1944 roku. Babcia mieszka u cioci wraz z jej synem. Dom jest odbudowany. My śpimy na podłodze, ciocia z synem w łóżku, a babcia w kuchni. Nie mamy nic. Znowu wchodzimy w nowy etap życia. Jakie ono będzie?

Wolne wieczory spędzamy na wspomnieniach o przeżytych dniach wojny. Często zbierają się u cioci sąsiedzi, którzy też przeżyli te straszne minione czasy. Dowiedzieliśmy się wtedy o przeżyciach ojca w okresie powstania i później w obozach jenieckich. Udajemy się również do naszego domu na ulicę Górczewską. Ponieważ ojciec jest zajęty szukaniem pracy, a siostra niechętnie chodzi po gruzach, ja tym razem idę sam. Część drogi odbyłem tramwajem lub autobusem, a część na Woli przemierzałem pieszo. To, co zobaczyłem było straszne. Moje znajome domy i podwórka były spalone i zrujnowane. Strasznie wyglądała ulica Staszica. Były tam same gruzy. Po jakimś czasie siostra odnalazła koleżankę, mieszkała na tej ulicy, dowiedziała się, że przeżyły powstanie ona i jej matka. Ojciec zginął. Matka nie mogła przeżyć tych strasznych wspomnień i powiesiła się w bramie swojego domu. Poszedłem dalej do ulicy Działdowskiej. Niemcy wycofujący się z Warszawy jeszcze w styczniu 1945 roku palili wszystkie ocalałe domy. Nasz dom, jak również bloki Wawelberga stały całe wypalone. Wszedłem do naszej piwnicy, ale wyżej nie można było, gdyż drewniane stropy były spalone. W tym czasie nie było na ulicy żadnych ludzi.

W naszej bramie od strony ulicy Górczewskiej siedział nasz dozorca z kimś jeszcze. Udało im się przeżyć. Może tam gdzieś mieszkali w gruzach. Poszedłem jeszcze w kilka znajomych miejsc oraz tam gdzie ojciec mnie skierował. Na ulicy Młynarskiej odwiedziłem fabrykę Woka, gdzie ojciec pracował, a my ukrywaliśmy się w czasie powstania. Było tam nawet już wysprzątane. Chodziłem później z ojcem po miejscach gdzie działał on w czasie powstania. Głównie był to szlak w kierunku Starego Miasta, a potem do Śródmieścia kanałami z wyjściem przy ulicy Wareckiej, i jako zakończenie walk miejsce przed Politechniką Warszawską przy barykadzie, gdzie 4 października 1944 roku oddał Niemcom broń i poszedł do niewoli wraz ze swoim oddziałem zgodnie z ustalonymi z Niemcami warunkami kapitulacji oddziałów Armii Krajowej.

Po wszystkich szlakach przebiegu walk chodziłem z ojcem. Pokazywał mi miejsca na Starym Mieście, gdzie został dwukrotnie ranny i przysypany, jak również gdzie zginęli jego koledzy oraz ludność cywilna. Również od moich rówieśników, którzy przeżyli powstanie dowiedziałam się dużo o różnych wydarzeniach w innych dzielnicach. Głównie jednak dzielnice Wola i Stare Miasto poznałem dosyć szczegółowo pod kątem przebiegu tamtejszych walk i ludzkich przeżyć. W czasie opowieści o swoich przeżyciach w jednym z oflagów w Bawarii, opowiedział o uratowaniu przez siebie sanitariusza Niemca, który opiekował się ojcem w szpitalu, gdzie przebywał po ranach odniesionych w Powstaniu Warszawskim. Sanitariusz ten ocalił ojcu życie poprzez wyjątkowo troskliwą opiekę. Dokarmił ojca i często z nim rozmawiał. Gdy do jakiegoś innego obozu tym razem koncentracyjnego weszły wojska amerykańskie, znajdujący się tam więźniowie wyszukiwali oprawców i zaczęli dokonywać samosądów. Powstał ogólny bałagan, który Amerykanie postanowili opanować. Skoszarowano tych okrutnych Niemców w jednym z baraków i zaczął się sąd z udziałem przedstawicieli USA, Anglii i Francji. Gdy Polacy z innych obozów dowiedzieli się o tym wysłali tam swoich przedstawicieli. Wśród nich był również ojciec wraz z kapitanem. Przebieg sądu ludowego był następujący: cały olbrzymi tłum dotychczasowych więźniów stał za ogrodzeniem, gdzie pilnowali więźniów uzbrojeni żołnierze amerykańscy, a w środku stał wielki stół, przy którym zasiadali przedstawiciele Międzynarodowego Trybunału. Z boku, w pewnej odległości stał żołnierz amerykański, murzyn, który trzymał thompsona w rękach, gotowy do wykonania wyroków zarządzanych przez trybunał na Niemcach, którzy dopuścili się zbrodni na ówczesnych więźniach tego obozu. Pierwszy oskarżony, który został doprowadzony przed trybunał wywołał olbrzymią reakcję więźniów. Chcieli przeskoczyć przez parkan i rozerwać tego zbrodniarza. Niemiec był przerażony, ale stanął przed stołem. Sędzia sprawdził dane personalne i przeczytał krótki akt oskarżenia. Stwierdził, że oskarżony zamordował trzech więźniów pastwiąc się nad nimi. Oskarżony tłumaczył się, że doszło do tego, gdy on zwrócił uwagę robotnikowi, który stał, zamiast pracować. Zaczęła się szamotanina i musiał on zabić więźnia. Z innymi było podobnie. Oskarżeni początkowo odnosili się do tych pytań nawet i beztrzęszo, nie uważając tego za przestępstwo. Było dodatkowe stwierdzenie sędziego, że oskarżony nagminnie znęcał się nad więźniami. Zgromadzony tłum więźniów szalał, krzyczał, żeby zabić Niemca. Sędzia odczytał wyrok i wskazał oznaczone na trawie miejsce, do którego ma pójść oskarżony. Gdy ten nie chciał iść, podchodziło dwóch żołnierzy i doprowadzało go pod lufę Thompsona. Padał strzał lub seria i zbrodniarz padał martwy. Pozostały dalsze oskarżenia i wyniki wyglądały podobnie. Towarzyszył temu ciągle krzyk byłych więźniów. W pojęciu Niemców obozy koncentracyjne były niemalże stworzone do wychowania i wymuszania pracy. Przykładem tego było przesłuchanie i skazanie winnego kapo za śmierć ośmiu mężczyzn. Zeznając przed międzynarodowym trybunałem powołał się on na wiszący w obozie transparent z napisem – „Kto nie pracuje ten nie żyje”. Duża część więźniów uchylała się od pracy. On pilnował tylko porządku. Wykonywał swoje zadania sumiennie, za co otrzymał wyróżnienie i nagrodę od samego Reichsführera SS Heinricha Himmlera. Jakiś czas trwała wymiana zdań między nimi, a zgromadzeni ludzie naciskali na ogrodzenie i nie mogli dłużej się temu przyglądać.

Przewodniczący, który nie przeżył gehenny obozów wdał się w wymianę zdań co doprowadzało do ogólnego bałaganu. Widząc to postanowił zakończyć rozmowę i nakazał, żeby oskarżony udał się na miejsce wykonania wyroku. Oskarżony nie chciał wykonać polecenia. Tłum byłych więźniów szykował się do szturmowania trybunału. Niemiec widząc to, wiedział, że za chwilę tłum go rozszarpie na kawałki. Zrobił kilka kroków i stanął. Podprowadzono go jednak na miejsce egzekucji i tam wykonano wyrok śmierci. Gdy przyszedł następny oskarżony i podawał swoje nazwisko, ojciec spojrzał na niego i stwierdził, że to jest właśnie ten sanitariusz, który okazał mu serce w szpitalu i uratował go od niechybnej śmierci. Jeniec był w mundurze SS, co jeszcze bardziej wzburzyło dotychczasowych więźniów. Gdy padło nazwisko oskarżonego, ojciec zwrócił się do kapitana, że zna tego człowieka i że on nic złego nie zrobił i dbał o chorych więźniów. Kapitan zwrócił się do przewodniczącego, że jest świadek, który zna Niemca i chce złożyć oświadczenie. W związku z tym postanowiono skierować podejrzanego do obozu specjalnego do wyjaśnienia sprawy. Na pytanie, dlaczego jest on w ubraniu SS, oświadczył, że specjalnie go tak ubrano. Więzień, gdy poznał ojca, uklęknął i dziękował za okazaną łaskę. Gdy odprowadzono go do dalszych dochodzeń, tłum krzyczał – „Zabić go!” Po powrocie do koszar, ojciec zadał sobie pytanie czy postąpił sprawiedliwie ratując tego człowieka. Przecież nie znał jego przeszłości. Mógł on celowo pod koniec wojny, gdy już III Rzesza upadała, zacząć postępować po ludzku. Ale to wszystko miało być wyjaśnione

dopiero w obozie, do którego go teraz skierowano. Po pewnym czasie ojciec chciał sprawdzić, jakie są dalsze losy oskarżonego. Dzwonił po wszystkich instytucjach, które rozwiązywały te problemy, ale potrzeba było czasu, aby to wszystko sprawdzić i osądzić ostatecznie. Dopiero, kiedy złączyła się cała nasza rodzina, na usilne prośby mamy, ojciec zdobył publikację o zbrodniach hitlerowskich, gdzie poszukiwany sanitariusz nie figurował. Nie był on członkiem SS, lecz pracował w służbie medycznej i wydano o nim pozytywną opinię. Mama dalej namawiała ojca, żeby nawiązał kontakt z tym Niemcem i podziękował mu za uratowanie życia. Byliśmy też ciekawi czy żyje cała jego rodzina. Po zdobyciu adresu pojechaliśmy z ojcem wraz z dwoma amerykańskimi żołnierzami M.P. Żołnierze ci byli uzbrojeni i prowadząc dżipa wyglądali bardzo groźnie. Gdy zbliżyliśmy się do stojącego na uboczu domu, ojciec zobaczył uciekającego do lasu mężczyznę. Rozpoznał w nim sanitariusza i dogoniliśmy go. Żona z dwójkiem małych dzieci płakała i błagała żołnierzy, żeby nie robili mu krzywdy, gdyż myślała, że przyjechaliśmy, aby go aresztować. Gdy wszystko się wyjaśniło gospodarze zapraszali nas, abyśmy przyjechali do nich na wypoczynek w tej pięknej okolicy. Ojciec poczęstował dzieci czekoladami, a one dały mi metalową jaszczurkę, wyglądającą zupełnie jak żywa. Żegnając się z niemiecką rodziną, ojciec poprosił sanitariusza na stronę i zapytał, dlaczego tak troskliwie zajmował się on jego osobą, bo przecież stan ojca był wtedy bardzo ciężki. Szczególnie poruszyło ojca dożywianie go ponad ogólnie stosowaną normę. Niemiec wyznał, że rozmawiał z ojcem, bo znał trochę język polski, gdyż był bardzo krótko w Warszawie w 1940 roku przewożąc rannych żołnierzy niemieckich do swojego kraju. Szczególne wrażenie wywarło na nim częste wspomnianie żony i dzieci, które prawdopodobnie zostały zamordowane i spalone już 5 sierpnia 1944 roku na Woli podczas masowych egzekucji w pierwszych dniach powstania. Żał mu było słuchać tego. Ponadto ojciec często płakał i sanitariusz spodziewał się, że ojciec się załamie i umrze, a on powątpiewał, żeby takie zbrodnie mogły mieć miejsce. A przecież to, co ojciec mi opowiadał to była tylko część tego, co się wtedy tam działo. „Pomyślałem sobie, co by było gdyby to mnie spotkało. I chociaż pan był moim śmiertelnym wrogiem, postanowiłem pana wyratować i zobaczyć jak to wszystko się zakończy. Może to dzięki temu tam przed międzynarodowym trybunałem pan uratował mi życie. To był cud”. Na pożegnanie uściskali się serdecznie, na co wszyscy obecni patrzyli z niedowierzaniem, a dzieci stały przy matce i obejmowały ją w pól.

Jednym z okropnych, a jednocześnie kontrowersyjnych działań Niemców w obozie koncentracyjnym Dachau było przeprowadzanie na więźniach, a szczególnie na księżach eksperymentów medycznych. Poznaliśmy z ojcem te sprawy, gdy pewnego razu przyszli do nas koledzy z wiadomością, że jeden z księży użyty do badań medycznych powrócił do Koszar Dolnych po prawie rocznym pobycie w szpitalu, już po wyzwoleniu. Pojechaliśmy tam samochodem ciężarowym w kilkanaście osób w tym i ja. Zastaliśmy tam sporą ilość naszych żołnierzy oraz leżącego na łóżku księdza. Opowiedział on wszystkim o swoich cierpieniach w trakcie dokonywania na nim prób z maścią do gojenia ran dla żołnierzy na froncie. Wyglądało to w następujący sposób: „Pewnego dnia Niemcy wybrali około 10 mężczyzn, w większości księży, w różnym wieku. Wyprowadzili ich do pobliskiego budynku i odbyła się następująca rozmowa. Jeden z Niemców przedstawił się, jako lekarz i oświadczył, że bardzo współczuje więźniom ich pobytu w Dachau, ale takie są prawa wojny. On jest tylko lekarzem i chce pomóc wszystkim, którzy cierpią z powodu ran nabytych na frontach. Zaprosił tutaj między innymi księży, gdyż oni powinni być szczególnie wrażliwi na ludzkie cierpienia. Powiedział, że jego badania nad wynalezieniem szczególnie skutecznego środka są w końcowej fazie i pozostało tylko wypróbować maść na żywych organizmach. Za dobrowolne wzięcie udziału w tych próbach, możliwe będzie zwolnienie danej grupy osób i ich powrót do swoich domów. Nastąpiło poruszenie wśród nas, gdyż każdy, a szczególnie ci młodszy chcieli jak najszybciej spotkać się ze swoją rodziną. Zgłosili się prawie wszyscy, których zaraz poddano szczegółowym badaniom. Przewieziono nas do jeszcze innego szpitala, gdzie dokonano na nas licznych szczepień, zabiegów, itd. Ostatecznie wydaje mi się, że wróciliśmy na teren obozu, gdzie był osobny budynek, a w nim kilka pomieszczeń odpowiednio wyposażonych. Tam leżałem osobno i na razie nic się nie działo. Pewnego dnia przyszło czterech chyba lekarzy w białych kitlach. Jeden badał moje nogi, dwóch stało obok mnie z dwóch stron, a jeden badał moją głowę. Następnie kazano podnieść nogi do góry i machać nimi. Trwało to dosyć długo, tak że się bardzo zmęczyłem. Ten przy mojej głowie zaczął zasłaniać mi oczy, jakby masując twarz. Nic nie widziałem, ale poczułem jakieś ciepło. Zatrzymano moje machanie nogami i poczułem dym. W pewnym momencie ciałem moim wstrząsnął potworny, nieopisany ból, szczególnie jednej nogi. Nie mogłem nawet krzyknąć, gdyż usta miałem przyduszone dłońmi tego, który stał nad głową. Myślę, że straciłem przytomność, bo takiego bólu nie mógłbym wytrzymać. Gdy odzyskałem przytomność, stał nade mną tylko jeden lekarz, a ja byłem przypięty pasami do łóżka. Nic nie pamiętam, nie wiem ile czasu trwała ta operacja, czy eksperyment, ale po wejściu wojsk amerykańskich, znaleziono w obozie protokoły z tego typu zabiegów. Dowiedziałem się, że przebieg eksperymentu na mnie był następujący: gdy już leżałem na łóżku i kazano mi tak intensywnie machać nogami, chodziło prawdopodobnie o stworzenie warunków dla organizmu, jak gdyby było to w warunkach bojowych. Czyli o szybkie krążenie krwi. Następnie z pomieszczenia obok przeniesiono rozgrzany stalowy odłamek, ubrudzony w rozpalonej ziemi ze wszystkimi zarazkami, jakie w takich warunkach występują w terenie na froncie. Wbili ten odłamek w udo lewej nogi,

chyba aż do kości. W tym czasie czterech lekarzy trzymało mnie i przyciskało do łóżka, a następnie mnie przywiązali. Nie wiem, po jakim czasie wyjęto odłamek. Pewnie oczyszczono ranę i posmarowano ją badaną maścią. Amerykanie już wcześniej wynaleźli maść penicylinową, bardzo skuteczną”. Ksiądz usiadł następnie na łóżku i pokazywał zebrany te szramy na udach. Miał ich trzy. I udało mu się przeżyć. Później ojciec opowiadał nam jeszcze różne szczegóły tej wizyty.